Nr. 10. Poznań, dnia 10 Marca 1907 r. Rok XI.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 39. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen

W środę rano udał się dobrowolnie do więzienia redaktor naszego pisma *p. Idzi Switała*. Żegnaliśmy go serdecznie, nie wątpiąc, że wróci niezłamany i tem silniejszy do pracy dla dobra społeczeństwa. *Redakcya.*

Z za kraty więziennej.

Nie wiem, czy istnieje zwyczaj, ażeby redaktorzy odchodzący do więzienia na czas tak krótki jak 2 wzgl. 3 miesiące żegnali się ze swymi Czytelnikami.

Poprzednicy nasi, jeżeli byliby chcieli pożegnać się ze swymi Czytelnikami, to władze były tak niełaskawe, że nie zostawiły im na to czasu. Wiecie, Kochani Czytelnicy, że tak p.*dr. Kazimierz Rakowski* jak i p. *Maciej Wierzbiński* aresztowani byli tak nagle, że nie mieli już możności pożegnania się z Wami.

Mnie wprawdzie zasądzono — ale nie aresztowano. Mam możność napisania do Was słów kilka — z możności tej korzystam, bo uczuwam *potrzebę* podzielenia się z Wami kilkoma myślami.

Mówią, że musi być człowiekowi ciężko odchodzić do więzienia, że musi być żal za utraconą swobodą.

Nie — tego mi nie żal, więzienia się nie obawiam. A jeżeli czego mi żal, to tego jedynie, że zniewolony jestem opuścić posterunek pracy narodowej i to w chwili, kiedy ważne o losach naszych rozstrzygają się sprawy.

Strejk szkolny nie jest załatwiony ani na korzyść ani na niekorzyść naszą, hakatyzm knuje nowe plany wyniszczenia polskiego żywiołu, my sami — ślepo wierzymy w naszą *odporność*.

A jednak — gangrena kolonizatorska jak rak toczy nasze trzewia. Po osobach prywatnych — instytucye publiczne stanęły w rzędzie sprzedawczyków.

W takiej chwili być zmuszonym opuścić ważny publicystyczny posterunek, jest rzeczą bardzo ciężką.

Ale — więzienie moje traktuję jako czas próby. Będę miał czas do rozważenia różnych naszych i dodatnich i ujemnych stron. Wyjdę na wolność z całym zasobem przemyślanych i przetrawionych poglądów — i mam nadzieję, że będę mógł potem wraz z Czytelnikami „Pracy“ pracować nad ich urzeczywistnieniem.

Byłem zawsze tego zdania, że obrona nasza ani nie jest *dość powszechna*, ani nie jest *dość intensywna*, że więcej o obronie naszej *mówiliśmy* aniżeli dla niej *czyniliśmy*. Wszyscy wzajemnie upajaliśmy się pięknemi hasłami, a im kto piękniejsze odnajdywał hasło, większym wydawał się bohaterem — aniżeli ktoś, co w cichości dla społeczeństwa swojego coś dobrego robił.

Mojem zdaniem jest to klątwą dla społeczeństwa, które więcej ceni słowa od czynów. Klątwa ta może być wręcz dlań niebezpieczną, jeżeli *słowa za czyny* brać zaczyna.

A niestety u nas już często tak jest. Będę rozmyślał w więzieniu nad tem jakby z duszy społeczeństwa naszego wykrzesać czynów stal, jakby w społeczeństwie naszem, odpierającem tylko ataki wroga — wyrobić taki rozmach, taką żądzę do walki za święte skarby narodowe, że jak burza ogarnie ona wszystkich — wielkich i małych, uczonych i prostaczków. Bowiem nie w samej obronie widzę zabezpieczenie społeczeństwa naszego od zagłady ale także i w równoczesnem zdobywaniu nowych posterunków, w wyrabianiu w sobie cnót wielkich, zdolności do poświęcenia, do pracy jednego dla wszystkich.

Mój czas więzienia rozmyślaniem nad tak poważnemi sprawami dotyczącemi *dobra społeczeństwa* będzie tak wypełniony, że da mi najzupełniejsze zapomnienie o *własnej doli*. Jestem tego zdania, że kara więzienna nałożona nie za przewiny lecz za przekonania nie jest karą, a choć nie jest szczęściem — nie jest także i nieszczęściem. Przecierpieli poprzednicy moi więcej — cierpienie ich nie złamało, — to nie złamie ono i mnie.

Do Was zaś, Kochani Czytelnicy, mam jedną prośbę: pamiętajcie o „Pracy“. To, że redaktorzy „Pracy“ idą do więzienia za swoje przekonania, jakich wyrzec im się nie wolno, to powinno Was tem silniej, tem serdeczniej zespolić z pismem naszem. Jest ono nie tylko naszem pismem, tj. nie tylko tych, którzy są jego właścicielami, redaktorami, współpracownikami — ale jest ono, kochani Czytelnicy, i Waszem pismem, dla Was przeznaczonem, za Was walczącem i broniącem Was.

To też nie omylę się zapewne, gdy wypowiem przekonanie, że po wyjściu mojem na wolność — liczniejsze jeszcze zastanę grono Czytelników aniżeli to, które opuszczam.

W tej myśli żegnam Was, kochani Czytelnicy, z nadzieją, że za 3 miesiące powitamy się na nowo.

Do widzenia
Wasz
Idzi Switała,
Redaktor „Pracy.“

Odporność — czy twórcza praca.

Wiele dróg, jakiemi toczy się życie nasze narodowe, pozostaje nie odgadnionych.

Jest faktem, że życie nasze uzależnione jest od otaczających nas politycznych warunków, w pierwszym rzędzie od polityki rządu pruskiego. Drogi i cele tej polityki są dziś dla całego naszego społeczeństwa jasne.

Celem jej jest: wynarodowić Polaków.

Zdaje się na pozór, że każdy zrozumie to doskonale, co to znaczy: *wynarodowić*. Tłómaczy to sobie każdy rzucającemi się w oczy zewnętrznemi cechami narodowości, a więc pozbawianiem zwyczajów i obyczajów, pozbawianiem języka narodowego i środków do jego krzewienia i pielęgnowania.

Jest dziś nawet w nauce przekonanie, że cała różnica między jedną narodowością a innemi polega wyłącznie na — właściwości języka, na odrębności językowej. Czy atoli tak jest?

Pewnie, że kto mówi po polsku *może* być Polakiem, kto mówi po niemiecku *może* być Niemcem, kto mówi po francusku, angielsku, włosku itd. *może* być Francuzem, Anglikiem, Włochem — ale czy tak *jest* i tak być *musi?*

Niekoniecznie! Polak może umieć po niemiecku — lecz nie staje się przez to jeszcze wcale Niemcem, Niemiec na odwrót może umieć po polsku, ale przez to jeszcze Polakiem nie potrzebuje być.

Nie jest więc sam tylko język jedyną cechą odrębności. Musi być jeszcze coś więcej, co narody od siebie różni.

Jest to *przeszłość* narodów, ich *historya*, ich *czyny*, ale także ich dążenia na przyszłość.

I my Polacy naszą przeszłością, i dążeniami naszemi na przyszłość różnimy się wielce od otaczającej nas niemieckiej narodowości.

Różnice dotyczące przeszłości łatwo przystępne są dla każdego, kto zechce zajrzeć do polskiej i do niemieckiej historyi. Nie o nich będziemy mówili.

Nas przyszłość więcej obchodzi. Z przeszłością naszą juześmy się obliczyli — przyszłości nie znamy.

Ważnym wynikiem, który wpływa na nasze pragnienia i dążenia na przyszłość — to dziejowy akt gwałtu, dziejowy rabunek dokonany na naszem ciele politycznem, na polskiem państwie — to rozbiór Polski.

Akt ten od chwili dokonania stworzył jaskrawy rozdźwięk pomiędzy najprostszemi pojęciami sprawiedliwości dziejowej i bezprawia.

Zaborcy z konieczności musieli chwytać się obłudnych sposobów usprawiedliwiania swojego postępku. Stąd odwoływanie się na bezpieczeństwo i spokój w Europie, na to, że Polska nie była zdolną rządzić się sama i t. d.

Że te wszystkie obłudne usprawiedliwiania się nie mają za sobą ani nawet cienia prawdy — tego dowodzić nie potrzeba.

Z drugiej jednakże strony Polacy od przeszło wieku na próżno dopominają się sprawiedliwości.

I obecnie rzeczy stoją pod tym względem tak jak stały dawniej: po jednej stronie obłuda, kłamstwo i gwałt — po drugiej niemilknący głos narodu, który nie zapomniał swojej przeszłości — głos wołający: o sprawiedliwość.

Odbywa się więc między nami a przeciwnikami walka o ideowe pojęcia prawa i sprawiedliwości — bezprawia i przemocy.

Polska — Polacy — naród polski w całym świecie cywilizowanym jest przedstawicielem bojownika idei sprawiedliwości, bojownika walczącego o słuszne, święte i niezaprzeczone prawa.

Tak pojmujemy stanowisko polskości wobec naszych przeciwników. Różni nas od nich to stanowisko tak bardzo, że nawet, gdyby innych różnic nie było — to już to samo by nas wyróżniło z pośród wrogów i niewrogów naszych dostatecznie.

Tak więc różnice pomiędzy nami a przeciwnikami nie tylko na zewnętrznych polegają cechach — ale leżą głębiej, wniknęły w ducha narodu naszego i w ducha przeciwników naszych.

A środki walki?!

Te z biegiem czasu nabierają nad-

Naród Polski

pod obcem panowaniem.

43)

Opowiedział

Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

Swietny skutek wyprawy księcia Poniatowskiego do Galicyi zadziwił i zaniepokoił Austryaków i arcyksiążę Ferdynand poruszył wojska swoje, chcąc przeprawić się na prawy brzeg Wisły. Więc generał Mohr oblegl Toruń, a będąca tam Rada Stanu Księstwa przeniosła się do Tykocina (12-go maja 1809 r.)[1]).

Mniemali Austryacy, że po wzięciu Torunia poszczą państwo pruskie i doznają stamtąd pomocy. Już też z podobną myślą podpłynęła pod Gdańsk eskadra[2]) angielska. I Prusacy o ile mogli, znosili się z arcyksięciem, tamowali ruchy Polaków, przeszkadzając im w komunikacyi z Kistrzynem i Gdańskiem.

Ale dzielny generał Wojczyński, broniący Torunia z 3,600 wojskiem, na odezwę austryacką, aby się poddał, zawołał śmiało do posłów:

— Weźmiecie twierdzę, ale pierwej musi być miasto w perzynę obrócone i ostatni wał zniesiony!

I Mohr po daremnych utarczkach (11-go i 14-go maja) musiał odstąpić od Torunia (18-go maja), a przeprawa przez Wisłę nie udała się Austryakom, bo strzegli jej pilnie na całej długości generałowie: Hauke od Torunia, Piotrowski od Wyszogrodu, Niemojewski aż do Ujścia Pilicy[3]).

Z wielkim pośpiechem rozwijało się powstanie narodowe. Płock i Łomża wystawiły 9 000 piechoty i jazdy; szczególnie jazda litewska miała wyborne konie. Z lewego brzegu Wisły Bydgoskie wystawiło piechoty 2 000, między nią 1 000 dawnych żołnierzy pruskich, 800 jazdy; 4 000 robotników wysłało do Torunia. Poznańskie i Kaliskie dały 7 500 żołnierza, a 473 000 złotych na uzbrojenie.

[1]) Lewicki, 396. — Dnia 7-go czerwca 1809 r. powróciła Rada Stanu do Torunia i tu powzięto zamiar wzniesienia pomnika Kopernikowi, co uskuteczniono nieco później (20 września). Uniesieni radością Polacy nic nie uczynili Niemcom „zmownikom z nieprzyjacielem, przychodniom niewdzięcznym za dobrodziejstwa“, wydaliwszy zaledwie z miastą kilku bez posiadłości. — Morawski, VI, 103.

[2]) *Eskadra*, z franc., część floty złożona z kilku okrętów.

[3]) Pod Tokarami (13 maja) brakło żołnierzy, więc kapitan Łagowski w szpitalu Płockim zawołał na próbę:

— Żołnierze do szeregów!

A na ten głos zerwał się Sędzimir prezes trybunału i krzyknął:

— Wstawać z łóżek i za mną!

Więc chorzy i inwalidzi powstali z łóżek, pochwycili za broń i podążyli na nieprzyjaciela, a odpędziwszy go, powrócili znów na swe łoża szpitalne. — Morawski, VI, 102.

zwyczajnej intensywności. Sądzono początkowo, że rozbiór Polski, rozdzielenie narodu złamie go i zmieni. Pozostawiono nam język, pozwolono na pielęgnowanie własnej kultury — ale szczepiono tem gorliwiej zarodek niewiary w przyszłość naszą.

Klęska wrogów naszych na tem polu rzuca się sama w oczy. Bo choć przemoc może zwyciężyć siłę fizyczną — sprawiedliwości przemienić, przeistoczyć nie zdoła.

Odwieczne są pojęcia prawa — i przemoc ich nie zmieni.

Rzucono się potem do niszczenia podstaw naszej kultury, naszych obyczajów, zwyczajów, naszego języka.

I dziś w oczy nie rzucają się już ani barwne, dawne stroje polskie, lud nawet ubrał się „z niemiecka", język wypędzono z urzędów, ze szkół, z życia publicznego. I czego dokonano? — tego chyba, że *dusza polska* dziś więcej jest polską aniżeli była dawniej — więcej po polsku czuje — i więcej polskości swojej jest świadomą.

Jedno tylko nas zatrważa. Otóż — wśród tej walki o polskość naszą oczy nasze zwrócone są z magiczną jakąś siłą ku tej groźbie, ku tym środkom skierowanym na zagładę polskości, i to w takim stopniu, że więcej myślimy o ratowaniu zajmowanych posterunków wtenczas, kiedy grot niebezpieczeństwa już w nie ugodził — aniżeli o tem, żeby niebezpieczeństwu temu zapobiedz z góry.

Rzecz trzeba postawić jasno. Za każdym projektem rządowym, który zmierza do wytkniętego przez rząd z góry celu — my na nowo wciąż przeżywamy całą skalę obaw: co z nami będzie?

Powodem tych obaw jest *brak zaufania* do naszych własnych sił.

Ten bak zaufania jest głęboko zasadniony. W wielkiej masie społeczeństwa naszego jest brak świadomości tego, o co właściwie walczymy. Siły nasze rozdrabniamy na małe utarczki brak nam ich wtenczas, gdy mamy wystąpić w szranki do — walnej bitwy.

O prawa i sprawiedliwość walczymy — tego powinniśmy być świadomi. Z tego punktu patrzenia na walkę naszą wiedzieć powinniśmy, że my nad przeciwnikami naszymi *moralną mamy wyższość.* Z tej moralnej wyższości musimy i powinniśmy czerpać zaufanie do naszych sił i wiarę w przyszłość.

Niestety wśród walki jaką my prowadzimy uganiamy się tylko o drobne sukcesa — o jedno krzesło w radzie miejskiej lub w izbach poselskich mniej albo więcej, naganiamy się wzajemnie do walki i urny wyborczej, jakby od tego wyboru zależał nasz byt lub zguba. I zdaje nam się po takiej walce, że już dość zrobiliśmy, że możemy — spocząć na laurach.

To nie laury zdobywa się wtenczas, gdy się prosty spełnia obowiązek.

Wawrzyny, uznania, nagrody, zdobywa się za — zasługi, a spełnienie obowiązku zasługą jeszcze nie jest.

Odpieranie zapędów wrogich na narodowość naszą, to tylko jedna strona walki naszej. Po drugiej stronie leży szerokie pole pracy nad wewnętrznem wzmocnieniem, nad rozszerzeniem sił narodu, nad wyćwiczeniem i wydoskonaleniem ich w takim stopniu, że każdej chwili gotowe będą stać do walki o święte nasze prawa.

Odpieranie nie jest to samo co zdobywanie. A cośmy zdobyli w czasie naszej — odpornej walki?

Zdobyliśmy niewątpliwie to jedno, że szeregowaliśmy się, zorganizowaliśmy — ale jak? — *połowicznie!*

Tysiące tysięcy pozostają jeszcze do dziś dnia poza obrębem wszelkich naszych organizacyi, które z dumą nazywamy „narodowemi placówkami."

Więc i nawet obrona nasza nie jest dość silna, dość intensywna, nawet obrona nasza nie ubezpiecza nas i nie chroni dostatecznie.

Czemu? — bo brak nam *twórczej* pracy, brak świadomości tego, że nie tylko bronić mamy tego co posiadamy z ducha i cech narodowych, ale że powinniśmy tego ducha i te cechy nasze narodowe *rozwijać, pielęgnować, doskonalić.*

Lecz o tem w społeczeństwie naszem — cicho i spokojnie. A cicho i spokojnie dla tego, ponieważ mało jest ludzi wśród nas, którzy posiadają odwagę, powiedzieć sobie i społeczeństwu prawdę w oczy. Sami siebie łudzimy, że

---

Ale Warszawę ogarnęło przyjemne zdziwienie, bo dnia 2 czerwca raniutko mieszkańcy nie ujrzeli nigdzie w mieście wojsk austryackich.

Tylko na uboczach, gdzie stały straże austryackie, uwijało się zamaszyście kilka kobiet.

— Co one robią? — pytali patrzący z dala.

— Nie widzicie, dzielne nasze przekupki poturbowały austryackich szyldwachów, odebrały im karabiny i rozpędziły te straże!

— A to zuchy niewiasty!.... Lecz gdzież jest wojsko austryackie i arcyksiąże.... czy śpią jeszcze?

— Ha, ha, ha — śmiali się świadomi rzeczy — to nie wiecie? Niema ich.... uciekli w nocy!

— Słyszeliśmy, że ich tam tęgo biją na południu, więc może gonią naszego dzielnego księcia Józefa i z nim myślą walczyć?.... Ale żeby tak uciekli, że nawet ani dudnienia armat nie było słychać....

— Dawno oni się już cichaczem wymykali, słysząc jak ich gromią, a armaty....

W tem nabbiegła mocno zarumieniona młoda przekupka z podniesionemi jeszcze pięściami.

— Armaty!... — wtrąciła się żywo — Austryaki poobwijały słomą koła od armat, żeby nie było słychać dudnienia..... tacy mądrzy!

— Niema ich, chwała Bogu! — zawołał ktoś smutnym głosem — ale czy wiecie ludzie, jak oni nas obrabowali?

— Ach tak, 400 000 złotych ściągnęli z kraju bezprawnej kontrybucyi, a 900 000 złotych wycisnęli z nas samowolnie w dostawach!

— A to bez sumienia łakome na grosz Niemczyska...

W tem zadudniło na głównym gościńcu a za chwilę ukazało się wkraczające ochoczo do Warszawy polskie wojsko pod dowództwem generała Zajączka. Warszawa była znów w posiadaniu Polaków.

Arcyksiąże bowiem dowiedziawszy się, że Lwów stracony, ściśnięty będąc z dwóch stron i bojąc się o odwet wymknął się cichaczem z Warszawy i podążył do Galicyi. W ślad za nim ruszyli niebawem z nowo uformowanemi siłami Dąbrowski i Zajączek, a w Galicyi zjawiły się też i wojska rosyjskie pod dowództwem księcia Golicyna, jako sprzymierzeńcy Napoleona. Przybywali jednak Rosyanie po to tylko, aby unikać walki z Austryakami, a nawet wchodzić z nimi w potajemne konszachty. To też ufny w pomoc Rosyi arcyksiąże przeprowadzał bez trwogi wszystkie swe siły i wydał śmiałą odezwę do Galicyan:

— Obywatele, przypominam i wzywam, abyście się upamiętali i wiernością dla monarchy udowodnili przywiązanie swoje do ojczyzny!

I postanowił wyprzeć Polaków z pozycyi nad Sanem. Nastąpiła krwawa bitwa pod Sandomierzem z księciem Poniatowskim, który zmuszony był cofnąć się za San, a generał Sokolnicki, odparłszy siedm szturmów i wystrzeliwszy wszystkie ładunki, podpisał zaszczytną kapitulacyę i od-

jesteśmy doskonałymi — ludzi się też i społeczeństwo całe.

Czas wielki, by prawdzie tej zajrzeć w oczy, czas oddzielić ziarno od plewy — czas ziarno krzewić, a plewy odrzucić.

Ostatnie wypadki, szczególnie na polu sprzedawczykostwa gwałtem nas do tego pchają. *—a—*

Budżet komisyi kolonizacyjnej a projekt wywłaszczania.

Przedłożony sejmowi pruskiemu memoryał komisyi kolonizacyjnej wykazuje kilka ciekawych acz znanych momentów.

Po pierwsze. Zwiększyła się co prawda w stosunku do lat ubiegłych ilość podań sprzedaży, zmniejszył się natomiast ich obszar. W roku ubiegłym ofiarowano komisyi 368 własności z obszarem 102 464 hektarów; w poprzednim (1905) 325 ze 115 053 hektarów. Przyczyna leży w tem, że z roku na rok zwiększa się liczba ofert drobnych właścicieli, a zmniejsza ilość podań posiedzicieli własności większych (ponad 600 hektarów).

Drugi przyczynek, niepomyślny dla Niemców, wykazują cyfry narodowościowe byłych właścicieli. Otóż z rąk polskich przeszło jedynie 7 majątków oraz 39 gospodarstw włościańskich z obszarem 3030 hektarów czyli zaledwie 10,2 procent.

Trzecim czynnikiem podpadającym to ogromna różnica w cenach. Gdy w roku 1905 kolonizacya płaciła jeszcze za hektar 1184 marek, a w roku 1904 — 1025 mrk., płaciła obecnie przeciętnie marek *1419!*

Powyższe trzy czynniki przerażają Niemców, mimo iż starają je się zaszachować szychem liczb, ilością kolonistów i pono dodatnim rozwojem interesu kolonizacyjnego. — I nie dziw! Ten „niepokojący“, jak go nazywa memoryał, a właściwie fatalny rezultat polityki kolonizacyjnej stoi przecież w rażącej sprzeczności z pierwotnemi zamiarami, różowemi nadziejami rządu pruskiego i jego czynników. Księciu Bismarckowi zdawało się, że 100 milionami wykupi całą wielką własność polską — o drobnej nie myślano wówczas; omylił się. Następcy jego rzucili się i na drobną własność i znowu fiasko. A w ogóle — od roku 1886 nabyła kolonizacya 705 posiadłości z rąk niemieckich, gdy z polskich zaledwie 392. Fiasko to tem poważniejsze; jeżeli uprzytomnimy sobie, że dzięki obudzonej opinii społeczeństwa naszego zmniejsza się z roku na rok liczba sprzedawczyków (niestety *sprzedaż Piotrkowic* wykazała nie dość jeszcze *stanowczą, silną i jednolitą opinię*).

Wobec powyższych wyników projekt *wywłaszczania* nabiera dla nas szczególnie ważnego znaczenia. Nie jest on nowym; wentylował go swego czasu i książe Bismarck, lecz — odrzucił.

Dziś po latach dwudziestu zmieniły się warunki. Szał narodowościowy ogarnął poważną część Niemców; za każdą cenę nie chcą już tylko, by nas było *mniej*, przykutych węzłami własności do ojczystej ziemi naszej, lecz, by nas *wcale nie było*. Szał ten rośnie, potęguje się z dnia na dzień tem *intensywniej*, im *energiczniej* społeczeństwo nasze — mimo klęsk — zbroi się i broni.

I otóż z potwornych ciemnic mroku szowinistycznego wyłonił się projekt ohydny wyrugowania nas z przedwiecznie ojczystej ziemi. Nie znamy go bliżej; gazety niemieckie, szczególnie polakożercze, nie zadowalają się *„prawem przedkupna“*, które, nadane kolonizacyi, byłoby do pewnego stopnia słabą formą wywłaszczenia. Żądają natomiast z brutalną otwartością prawa, a raczej *bezprawia bezwarunkowego wykupywania wszelkiej ziemi polskiej.*

We własnych jednak szeregach, w konserwatywno-agrarnych sferach, powstają przeciwnicy powyższych zamiarów. Nie sądźmy jednak, że z poczucia sprawiedliwości obudzonego sumienia. Nie! własny ich interes materyalny wzdryga się przed tym obosiecznym środkiem, bo przewidują zupełnie słusznie, że skoro nada się *jedynie* instytucyi państwowej prawo nabywania ziemi wartość tej ziemi, pozbawiona przy kupnie wszelkiej kon-

---

dał Austryakom Sandomierz (18 czerwca 1809 roku)[1]).

Książe Józef ściągał teraz wszystkie wojska — także Zajączka i Dąbrowskiego — w okolice Radomia i opuścił wschodnią Galicyę a więc i Lwów, który zajął generał austryacki Schaumroth (19 czerwca). Najpierwszą czynnością Austryaków było pozrzucać orły zwycięzców i okuć w kajdany najgłośniejszych patryotów polskich, prawie w oczach Rosyan, którym zaraz Lwów wydany został. Powstrzymał dalszą walkę rozkaz Napoleona.

— Wojska polskie mają się udać do Morawy i tam połączyć się z wojskami francuskiemi!

Z 23 000 armią zwrócił się książe Józef ku zachodowi, a za nim podążył korpus rosyjski. Przez Kielce, Miechów, staczając po drodze drobne potyczki, przybyły wojska polskie pod Kraków. Po krótkiej walce z generałem austryackim Mondetem zawarł tenże z Poniatowskim kapitulacyę i zobowiązał się ustąpić z Krakowa w przeciągu jednej doby. Ale chytry Niemiec wysłał potajemnie wezwanie do stojącego w pobliżu z wojskiem rosyjskiem generała Siewersa:

— Generale, nie dopuszczaj Polaków, lecz w nocy zajmij spiesznie Kraków na rzecz Rosyi!

[1]) Książę Poniatowski cofnął się w nocy za San i zebrał mosty, zostawiając w Sandomierzu samą załogę. Więc generał austryacki Mohr, pospędzawszy chłopów okolicznych z koszami i faszyną i pchając te nieszczęśliwe ofiary przed sobą, z ich trupów usłał sobie pomost do miasta. Padło 2000 Austryaków, 500 dostało się do niewoli. W owych odpartych szturmach Sokolnickiego odznaczyli się Żółtowski, Bontemps, Weisenhof, Płonczyński, Jordan, Bogusławski, Zawadzki, Dwie dywizye moskiewskie patrzyły z pobliża na tę walkę, lecz wcale nie ruszyły się z miejsca. — Morawski, VI, 105.

A książe Józef, nie wiedzący o tem, wjeżdża nazajutrz na czele sztabu (15 lipca 1809 r.) do miasta, w tem przy ulicy Floryańskiej spotyka uszykowanych już przeciwko niemu Moskali. Obie strony gotowały się już do boju[2]); ledwie udało się skłonić Moskali do ustąpienia, a Kraków obsadzony został wojskiem polskiem (15 lipca). Radość zapanowała w mieście, w którego imieniu temi słowy witał bratnie wojsko Tomasz Krzyżanowski:

— Bóg ulitował się nad ludem gorzkiemi łzami opłakującym swe dawne czasy, a to właśnie w tym samym dniu, kiedy przed czterema wiekami (15 lipca 1410 roku) złamał król Jagiełło pod Grunwaldem zaciekłych Niemców, chcących zagładzić naszą Polskę!

(Ciąg dalszy nastąpi).

[2]) Pięć tysięcy Moskali stało w szyku bojowym; huzary przy bramie Floryańskiej, frontem do wchodzących Polaków, 12 dział ustawionych było w rynku.

— Mam rozkaz bronić wstępu do miasta! — rzekł Siewers do Włodzim. Potockiego.

— A ja mam rozkaz wnijść do miasta za wszelką cenę! — odpowiedział Potocki. I ułani nastawili piki. — Bagnety do ataku! — krzyknął podpułkownik Blumer.

Książę Józef spiął konia i przedziera się pomiędzy piechotę moskiewską, z ulicy Grodzkiej roztrąca zastępujących mu huzarów rosyjskich a dopadłszy do Siewiersa gromi go ostro za niewłaściwe jego postępowanie. Piechota polska zajęła wreszcie odwach na rynku, most i Podgórze Książę Poniatowski odpoczął w rynku pod Krzysztoforami, To zajście z Moskalami dało powód do kilku pojedynków, pomiędzy oficerami polskimi a rosyjskimi, w których odznaczył się sławny rębacz, oficer piechoty Dulski — VI, 107; Sokołowski. IV. 1363.4.

kurencyi, spadnie do prawdziwej swej wartości. A tego obawiają się zadłużeni junkrzy strasznie. Boć w takim razie nie zyskaliby nic na sprzedaży ziemi ,ba wyszliby zrujnowanymi zupełnie. Tymczasem dzisiaj mają bądź co bądź wygodnego straszaka polskiego, którym igrają tak długo, aż kolonizacya nie da im żądanej, a wygórowanej ceny.

Nasz interes narodowy, wysubtelniony we walce o ziemię, wymagał nieraz od nas ,że płaciliśmy za *drogą nam* ziemię — drogo. Junkrzy tego poświęcenia nie znają, zrozumieć nie mogą, bo stojąc u żłobu państwowego mają *co* chcą i *jak* chcą. To też obecnie przeraża ich projekt przyjaciół, bo widzą w nim nietylko *formalne* pogwałcenie prawa jednostki do własności, lecz *widzą też eksperyment, bijący o prawo posiadania i regularny i swobodny rozwój ekonomiczny.* Nie zapominajmy bowiem, że skoro wyłonił się powyższy zamiar, *socyalistyczny „Vorwaerts“* ucieszył mu się i słusznie dowodził, że leży w zamiarze tym ziszczenie *ideału socyalistycznego ekspropryacyi ziemskiej własności prywatnej.* Jak widzimy Prusacy, walczący na zabój z socyalizmem, umią, gdy chodzi o polskość być *pionierami* (?), *rewolucyjnego postępu.*

Twierdzą też junkrzy, że, o ile projekt przeszedłby, wzmocniłby się handel i przemysł polski. Polacy sprzedając bowiem ziemię z musu, osiedlaliby sie w miastach i poświęcali kupiectwu i przemysłowi. *Nie zgadza się to niestety z prawdą.* Sprzedając z musu ziemię otrzymywalibyśmy tylko ceny, które rząd nam *chciałby* płacić. Nie odpowiadałyby one, o ile by o nas chodziło, *nakładowi naszej pracy.* Przymusowi ci sprzedawczycy powiększaliby *ilościowo* niewątpliwie ludność naszą w miastach; nie mając jednak solidnych podstaw materyalnych nie mogliby być dla nas *czynnikami dodatniemi.* Powiększaliby jedynie proletaryat nasz, który *tem dotkliwiej dawałby nam się odczuć, im mniej byłby oświeconym i narodowo uświadomionym.*

Handel i przemysł nasz, rozwijający się obecnie w nader zdrowem tempie, musiałby siłą rzeczy *upaść*, bo zabrałoby mu *rynku zbytu, jakim jest bezwątpienia dla niego ludność wiejska.*

Z ruiną *materyalną* szłaby i ruina moralna. I jednej i drugiej obawiać nam się należy to też projekt wywłaszczenia jest *mieczem Demoklesowym*, wiszącym nad naszem społeczeństwem. Odczuwa ono *instynktownie całą grozę położenia.*

Czuwać nam trzeba, by być przygotowanymi. Zapewne w niedalekiej przyszłości wyłoni się skrystalizowany projekt. Powrócimy do niego wtenczas. Mając go przed sobą wraz z całem społeczeństwem szukać będziemy dróg wyjścia.

Chwilowo *„czuj duch.“*

Korespondencya z Galicyi.

Kraków, dnia 18. III. 1907.

O wypadkach na Uniwersytecie lwowskim wiecie już z pism codziennych a także z poprzednich moich korespondecyi. I zajścia najnowsze — wczorajsze dojdą do wiadomości Czytelników „Pracy“ zapewne rychlej, niż niniejsza moja korespondencya. Wobec tego nie potrzebuję ich szerzej opisywać i zestawię je tylko krótko — dla lepszego zrozumienia następnych moich uwag. A zatem: uwięzioną za haniebny ów napad na uniwersytet lwowski młodzież ruską wypuszczono na wolność jeszcze przed ukończeniem śledztwa, ponieważ urządzona przez nią komedya z „głodówką“ rozbudziła nagle w prasie niemieckiej w Wiedniu wielkie *„współczucie“* dla *„prześladowanych“* Rusinów, którego rząd austryacki po prostu się uląkł. Mimo zaprzeczeń półurzędowych i urzędowych jest faktem, że władze sądowe we Lwowie otrzymały z Wiednia wskazówkę, aby młodzież ruską jaknajrychlej uwolnić z więzienia. Ta *nieprawna* zupełnie ingerencya władz centralnych wywołała jak wiadomo, wielkie zaniepokojenie w kołach polskich. Wyrazem tego zaniepokojenia był znakomity pod względem treści i formy manifest profesorów lwowskiego uniwersytetu. Drugim objawem zaniepokojenia był wiec niedzielny we Lwowie — na którym również broniono energicznie polskiego charakteru lwowskiej wszechnicy. Następstwem tego wiecu zaś były wczorajsze walki między studentami polskimi a ruskimi na uniwersytecie i przed uniwersytetem. Gdy bowiem oskarżeni o ów napad na uniwersytet i prof. Winiarza studenci ruscy — świeżo wypuszczeni z więzienia, jak gdyby nic nie zaszło, przybyli wczoraj na odczyty, młodzież polska wysłała do nich deputacyę z wezwaniem, ażeby natychmiast opuścili gmach uniwersytecki, jako niegodni zasiadać w nim po dokonaniu tak zbrodniczego czynu. A gdy część

Z teatru.

„Obłoki“ sztuka w 3-ech aktach Jarosława Kwapila.

Nie jedynym byłem zapewne, który szedł z zaciekawieniem do teatru na sobotnią premierę , a wyszedł — rozczarowany.

P. Kvapil, reżyser i zdaje się dramaturg narodowego teatru w Pradze napisał sztukę, która miała być dramatem psychicznym. Omylił się i napisał rozwlekle, a co najgorsze nudnie dramatyzowaną opowieść o bardzo niemądrym kleryku.

Niezbadane są pomysły dyrekcyi naszego teatru; to też napróżno łamałem sobie głowę, dla czego dyrekcya kazała publiczności przez $2^1/_2$ godziny słuchać banalnych rzeczy. Przecież teatr nie jest miejscem umartwień, chociażby nawet i w poście. A są inne, lepsze rzeczy dramatyczne w literaturze czeskiej.

Niemłody już kleryk, który po za seminaryum i rodzinną wsią nic nie zna, bo nic znać nie chce, mazgaj i niedołęga straszny, był pono za czasów dzieciństwa wielkim urwisem. Jak każde dziecko chorował, a pobożna matka, siostra proboszcza, ofiarowała go w swojem zmartwieniu Bogu na służbę. Posłuszny chłopak (mający już lat dwadzieścia i kilka!) idzie za głosem matki i przywdziewa sukienkę. — I zdaje się, że jest mu dobrze, może też i nie czuje się szczęśliwym; głos matki jednakże, przykład wuja-proboszcza ucinają wszelkie niepokoje. I już niedługo, bo za rok, święcić ma swoje prymicye.

Nagle spokój przerywa mu — artystka. Bawiła się ona kiedyś z młodym wisusem — była coprawda wówczas nader skromna i poważna. Dziś ona wesoła i pełna życia — on apatyczny i bez życia. Opowiada mu i w pierwszym i w drugim akcie o tym pięknym, szerokim świecie, gdzie natury dzielne i energiczne zdobywają cześć i sławę; przypomina mu szczęśliwe lata dzieciństwa, gdy błądzili wspólnie po lesie, gdy on bronił ją przed innymi urwipołciami mówił jej, że bronić będzie ją całe życie, bo zostanie jej mężem.

Pod wpływem tych słów, które płyną wartkim potokiem (po kilka minut!), z ust pięknej artystyki niemłody już kleryk czuje „wolę bożą,“ chce zerwać wiążące go pęta i — zostać mężem, choć nie wie jakim.

Matka rozpacza, wuj dogaduje i — nic. I znowu artystka zmienia go. I ona go pono kocha, lecz na widok łez matki czuje w sobie siłę wewnętrzną na długi dyalog, w którym — plwając na siebie i cześć swą kobiecą — wyka-

młodzieży ruskiej a raczej tych, którzy w zbrodni owej udział brali, nie chciała się do tego wezwania zastosować, polscy studenci bez ceremonii wypędzili opornych z uniwersytetu, przyczem naturalnie nie obyło się bez sińców, a nawet ran.

Wypadek ten znów zaostrzył sytuacyę. Prasa wiedeńska zaczyna na nowo wylewać łzy krokodylowe nad niedolą biednych Rusinów, wywołując tem głośne echo w hakatystycznej prasie niemieckiej w Rzeszy, a rząd wiedeński zapewne znów, ulegając opinii niemieckiej odważy się na jaki krok niewłaściwy pod adresem władz galicyjskich.

Wszystko to nadaje „kwestyi ruskiej" w Galicyi charakter sprawy tak *piekącej*, że gwałtem narzuca się konieczność jaknajrychlejszego jej uregulowania w ten lub ów sposób, byle *stanowczy* — a nie znów połowiczny.

Lecz w jaki sposób? Niestety, sprawa tak się skomplikowała dzisiaj, że właśnie wynalezienie odpowiedniego sposobu będzie dziś bardzo trudne.

Sprawili to głównie Niemcy. Już to wszędzie, gdziekolwiek spadają na nas nowe trudności i przykrości, śmiało zawołać można: „Cherchez les Allemands" — „szukajcie Niemców." Ci „najserdeczniejsi nasi" uwzięli się na to, aby nam szkodzić na każdym kroku i to wszędzie, gdzie tylko wchodzą w grę polskie interesy narodowe. Nie mówiąc już o zaborze pruskim, szkodzą nam oni zarówno u nas w Galicyi jak i w Królestwie i w Rosyi, a czynią to samo nawet wobec wychodźtwa naszego w Ameryce północnej.

I ta najnowsza awantura we Lwowie jest — co uważać już można niemal za rzecz stwierdzoną — *dziełem niemieckiej ręki*, dziełem Niemców austryackich — a może i innych jeszcze. Wiadomo, że nowa ustawa wyborcza w Austryi złamała nareszcie nienaturalną i niezdrową przewagę Niemców w parlamencie austryackim. W nowym parlamencie inne narodowości, (jak głównie *Słowianie*, a dalej Włosi) — będą liczyły o 30 mandatów więcej, niż wszyscy Niemcy razem wziąwszy. Stronnictwa niemieckie w poprzednim parlamencie, który ustawę tę uchwalił, zgodziły się wprawdzie na tę — zresztą nie dającą się już uniknąć — zmianę, z góry atoli były przekonane, że nie w ten to w ów sposób będą mogły znaleść kompensatę wobec tego uszczerbku władzy. Z początku Niemcy austryaccy liczyli na Włochów, tymczasem pomoc z tej strony okazała się wątpliwa. Wobec tego zatem postanowili urwać coś z równie liczebnie silnego jak oni *„bloku słowiańskiego"* i tem znów przechylić przewagę na swoją stronę. Ponieważ zaś Rusini dotychczas już najbardziej kokietowali z Niemcami, najczęściej łamali solidarność słowiańską, ponieważ dalej mają oni wejść do nowego parlamentu w sile około 30 posłów, na nich więc rzucili „nasi" przywódcy niemieccy czułe oczko i tę właśnie „ruską frakcyę" zapragnęli zaprządz do swego rydwanu.

I — jak się zdaje — dotychczas sprawa rozwija się gładko. Z góry widocznie zapewniono Rusinom pomoc przy wszelkich gwałtach i nadużyciach, jakich się dopuszcza względem Polaków. To ośmieliło także młodzież ruską. Widocznem jest, że Niemcy austryaccy pragną teraz między Rusinami a Polakami taką wykopać przepaść, iżby porozumienie między dwoma temi bratniemi narodami stało się wręcz niemożliwe i by Rusini zupełnie już skazani byli na łaskę Niemców.

A więc — *manewr to wyborczy* — nic więcej — o prawdziwie krzyżackiej przewrotności i perfidyi. I to tłomaczy owe łzy krokodylowe, wylewane przez prasę niemiecką w Wiedniu nad niedolą ruskiej młodzieży i Rusinów wogóle, łzy naprawdę *krokodylowe*, jeżeli sobie przypomnimy niedawne wypadki w Innsbrucku w Tyrolu, gdzie to młodzież niemiecka w jeszcze brutalniejszy sposób zdemolowała gmach włoskich wykładów uniwersyteckich i w dziki wprost sposób napadła na studentów włoskich. Ci „młodzieńcy niemieccy" byli wówczas naturalnie w oczach prasy wiedeńskiej *bohaterami* — ponieważ pogwałcili prawa mniejszości; dziś młodzież polska odpierająca jedynie zbrodnicze gwałty młodzieży ruskiej — jest w oczach tych niemieckich pismaków „młodzieżą brutalną, dziką, gnębiącą mniejszość itd. itd."

Lecz tę dwojaką miarę „nadnarodu" znamy już aż nadto dobrze, i nie potrzebujemy rozwodzić się nad tem obszerniej.

Krążą zresztą inne jeszcze wersye, a mianowicie, że w sprawie tej dostrzedz można także rękę pewnego konsulatu zagranicznego we Lwowie, który radby odwrócić uwagę *Polaków galicyjskich* od pewnych zamiarów politycznych swego państwa względem ich braci w innym zaborze itd. itd. Lecz o tem na razie lepiej milczeć jeszcze.

---

zuje mu, że zbyt wielkim jest niedołęga, by mógł nowych szukać dróg szczęścia.

I chłopiec znowu jest posłusznym i przyrzeka rozradowanej matce, że nie opuści seminaryum.

Artystka wyjeżdża — po zwycięstwie (!) nad samą sobą — z złamanem (!) sercem.

Jądro dramatu nadawało się, jak już wspomniałem, do wstrząsającego dramatu psycholicznego. Tymczasem autor spaczył je rozwlekłemi tyradami o minionej wiośnie lat dziecinnych i o innych pięknych, a ckliwych cnotach.

Ołówek reżysera mógłby był przyczynić się do lepszego przyjęcia sztuki, o ileby skreślił przydługie dyalogi.

I gra artystów nie mogła podnieść wartości sztuki. Im lepiej by grali, tem większe zmęczenie i zdenerwowanie czułaby publiczność

Miałem to uczucie, ile razy p. Turowiczówna — grająca niezawodnie najlepiej — w długich dyalogach męczyła i siebie i wszystkich. P. Ryger (młodszy) miał chwilami minę skazańca, a ruchy nieokreślone. P. Ryger (starszy) nie męczył się wcale. Pani Czerniakowa grała poprawnie. *A. P.*

* * *

Na czwartek i piątek zapowiedziała dyrekcya teatru naszego występy głośnej i dziś jeszcze tancerki Saharet. Przyzwyczajeni jesteśmy do różnych pomysłów naszej dyrekcyi. Ta jednak trzyma prym.

Teatr nasz, ufundowany groszami *całej* Polski, ma dla nas zbyt poważne znaczenie, byśmy mogli spokojnie patrzeć jak fantazya dyrektorska wprowadza na jego deski tancerkę „rozmaitości (waryatek) europejskich" chociażby tej miary i wdzięku, który zdobi piękną Saharet.

Zdaje nam się, że pieniądz, przeznaczony Saharetce, dyrekcya lepiejby i pożyteczniej i dla siebie i dla społeczeństwa zużyła, sprowadzając nam na gościnne występy naszych pierwszorzędnych artystów z Krakowa, Lwowa lub Warszawy. Repertoir by się poprawił, gra naszych artystów — mających doskonałe wzory — wydoskonaliła, smak publiczności wybrednił.

Dyrekcya nie rozumie widocznie swoich obowiązków. Nie przeoczając jej zasług śmiemy stanowczo twierdzić, że wieczorem tanecznym — nawet i Saharet — dyrekcya obniża wartość teatru naszego do rzędu przybytków „rozmaitości".

Przeciw temu stanowczo protestujemy. *A. P.*

Lecz, jak już zaznaczyłem powyżej, w skutek tej nieproszonej i niepowołanej ingerencyi Niemców sprawa znacznie się skomplikowała. Rusini czują, że mają za sobą wielką potęgę, niezawodnie więc zwiększać będą swoje żądania aż — do niemożliwości ich spełnienia. Uderza tu także śmiałość, z jaką wdał się w tę sprawę wiedeński rząd centralny. Zdaje się, że już spełniać się zaczyna to, co przewidywałem w jednej z ostatnich moich korespondencyi, a mianowicie, że rząd z przeszło trzydziestogłosową frakcyą ruską w parlamencie bardzo liczyć się będzie a może też wprost jej schlebiać. Ostatnie Koło Polskie widocznie nie dało uczuć (?) rządowi swej *siły*, jeźli teraz odważył się w ten sposób wpłynąć na decyzye sądów i władz galicyjskich. Pod tym względem nowe Koło musi w Wiedniu zająć bardziej stanowcze stanowisko i wyprosić sobie tego rodzaju nacisk na nasz rząd krajowy. Obecnie ofiarą tej śmiałości rządu padł zasłużony i zacny prezydent wyższego trybunału lwowskiego, ekscelencya *Tchórznicki*, który podał się do dymisyi, a krążą wieści, że za jego przykładem pójdzie także namiestnik hr. *Potocki*, jeżeli rząd chociaż jeszcze jeden krok uczyni na tej drodze.

Co atoli wypada zrobić w kwestyi *uniwersyteckiej?* Uniwersytetu polskiego we Lwowie naturalnie wydrzeć sobie nie pozwolimy. Manifest profesorów świetnie wprost wykazał nasze prawo do tej wszechnicy. A zatem chcąc nareszcie koniec położyć tym burdom ruskim na tej wszechnicy i umożliwić młodzieży polskiej spokojny tok studyów — trzeba będzie stworzyć *osobny ruski* uniwersytet. Niechże sobie ci „nasi bracia" w braku własnych profesorów, sprowadzają tam mędrców niemieckich! Nad tem zastanowi się zapewne także Sejm galicyjski jeszcze w obecnej sesyi.

Są u nas jeszcze politycy, którzy oświadczają się przeciwko zupełnej separacyi szkół we wschodniej Galicyi na polskie i ruskie, a za *utrakwizacyą* szkół, nawet uniwersytetu. Jeżeli już — tak wywodzą — we wszystkich władzach język ruski jest równouprawniony z polskim, dla czego nie ma nim być także w szkołach? Przez tworzenie osobnych ruskich gimnazyów i przez stworzenie osobnego uniwersytetu ruskiego przedział między obu narodowościami jeszcze się powiększy. Rusinom zaś da się pole, na którem samodzielnie zupełnie działać będą mogli. Zdaniem tych polityków byłoby lepiej, gdyby zamiast tego w *polskich* gimnazyach tworzono ruskie paralelki, a na lwowskim uniwersytecie paralelne katedry ruskie. Niestety — poglądy to już — spóźnione. I to już nie wróciłoby spokoju. Może było by inaczej u nas, gdyby od razu stosowało się było tę taktykę. Dziś gdy rozbrat już tak daleko postąpił, gdy między nami a Rusinami stanęli znów *Niemcy* i zatruli wszelkie stosunki — dziś zapóźno myśleć o takiej drodze wyjścia, o takim „modus vivendi".

Przyszłość naszych braci za Sanem zapowiada się bardzo poważnie. Wielu w obecnych zaburzeniach we Lwowie widzi tylko *wstęp i przygrywkę do gorszych jeszcze awantur podczas bliskich wyborów do Rady państwa*. Przemawia za tem także ton posłów ruskich w Sejmie, ich — darujcie to wyrażenie — *bezczelne* porównywanie losu Rusinów z waszym losem pod rządem pruskim. Kto wie, może wkrótce usłyszycie nawet o zaprowadzeniu *stanu wyjątkowego we Lwowie...**) To tylko pewna, że my tu tak łatwo ani Rusinom ani — *Niemcom* nie pozwolimy naruszać odwiecznych praw naszych!

(X.)

*) Obawa Szan. Korespondenta wydaje nam się zbyt wielka. — Red.

Tydzień polityczny.

Gdy cesarz otwierał parlament, nikt nie mógł przewidzieć jeszcze, jak się ułoży konstellacya pomiędzy stronnictwami, jaki szczególnie będzie stósunek rządu do centrum, na którem w poprzedniej kadencyi opierał swoją politykę.

Mowa cesarza przy otwarciu parlamentu zdawała się wskazywać na to, że rząd zachowa do centrum stosunek jeśli nie przyjacielski, to na razie przynajmniej z niem zrywać nie będzie.

Stało się inaczej. Przy wyborze marszałków parlamentu zwiększona opozycya konserwatystów, rządowców, narodowych liberałów i wolnomyślnych odepchnęła centrum od stołu marszałkowskiego. Centrum, jako największa partya, rościła sobie na podstawie utartego do pewnego stopnia zwyczaju parlamentarnego prawo do pierwszego krzesła marszałkowskiego. Tymczasem ani marszałkiem nie wybrano centrowca, ani nie dopuszczono centrum do zastępstwa marszałka. Zaledwie dopuszczono dwóch sekretarzy z partyi centrowej do zarządu parlamentarnego.

Wojownicze usposobienie większości parlamentarnej oburzyło centrum. To też, gdy jako pierwszy mówca podczas pierwszego czytania etatu wstąpił na mównicę centrowiec dr. Spahn, w ostrym tonie i w ostrych słowach popłynęła krytyka rządu. Centrum chciało okazać, że rzuconej sobie rękawicy nie myśli odrzucać, przypomniało, że największe sukcesy polityczne w ostatnich latach rząd odniósł z jego pomocą, że nie wierzy w skojarzenie się „ducha liberalnego z konserwatywnym." Poseł Spahn poruszył także sprawę wpływania rządu na wybory, listy generała *Keima* z „Flottenferajnu," targujące się z rządem i fundusze na cele wyborcze. Spahn nie ukrywał oburzania centrowców na to, że w czasie wyborów starano się ich partyę zohydzić, podać w pogardę nawet za granicą, i domagał się energicznie zadośćuczynienia.

Oczywiście na inną nutę brzmiała tryumfalna pieśń narodowych liberałów. Poseł Bassermann szczerą wyraził radość z tego powodu, że z mowy tronowej — wiał *narodowy wiatr*, że socyalna demokracya została pobita, i że rząd oswobodzony został z pod zwierzchnictwa centrum, które w sprawie kolonii afrykańskich nie chciało niczego innego jak *upokorzenia* rządu. Oczywiście uważa p. Bassermann agitacyę tę za zupełnie niewinną, wdzięczność wyraża kanclerzowi i Dernburgowi, że starali się narodowi niemieckiemu sytuacyę wyjaśnić. Pan Bassermann oprócz kilku ostrych wycieczek przeciwko centrum i socyalistom, oprócz zapowiedzi, że partya nar. liberalna domagać się będzie naprawy prawa o zebraniach i stowarzyszeniach i t. p. — nie podał sposobu, jak wyobraża sobie politykę rządu z jego partyą i konserwatystami. Albo nie ufał sobie albo nie rozumiał, co to znaczy kojarzenie „liberalnego z konserwatywnym" duchem.

A rząd?

W jego imieniu wystąpił ks. Bülow, kanclerz Rzeszy. Przedewszystkiem zaznacza, że wypowie się o stósunku do centrum zupełnie szczerze i otwarcie. Uznaje więc dotychczasową działalność centrum, przyznaje, że niejednę ważną rzecz przeprowadził z pomocą centrum, i że gotów zawsze jest rządzić z tą partyą, która popiera tę politykę rządu, która Rzeszy gwarantuje jej znaczenie wobec zagranicy. To centrum długi czas robiło, stąd przyjaźń rządu do centrum.

Ale — stało się inaczej. Centrum zapoznało w ostatniej chwili swoje wysokie zadanie, sprzeniewierzyło się rządowi, z powodu nieprzychylnego stanowiska centrum wobec kolonii afrykańskich, z powodu, że centrum w polityce swojej rozwinęło się z innemi partyami popierającemi rząd, a złączy-

ło się z socyalną demokracyą — rząd *zmuszony* był rozwiązać parlament i szukać poparcia gdzieindziej.

Rząd do ostatniej chwili starał się o porozumienie z centrum, ale centrum chciało, by się rząd przed niem upokorzył. Tego rząd uczynić nie mógł.

Kanclerz odpiera zarzut, jakoby był chciał podawać centrum w pogardę, lub je obrażać. Czem? — czy tem, że bez pozwolenia centrum parlament rozwiązał?

Bülow przyznaje się, że wpływał na wybory, i że przy przyszłych wyborach jeszcze więcej będzie wpływał — lecz tak postępują sobie rządy i ich przedstawiciele we wszystkich innych krajach.

Szkoda, że ks. Bülow zapomniał, że w innych krajach przedstawiciele rządu wychodzą z łona parlamentu, i że Rzeszy ministrów nie parlament, lecz cesarz mianuje. Co innego więc inne kraje — a co innego Niemcy.

Mowa Bülowa zdaje się z całym rozmysłem przecięła bez zastrzeżeń wszystkie nici łączące dotąd centrum z rządem.

Ks. Bülow musiał jeszcze wysluchać ostrych przygan socyalisty Bebla. Odpowiedź na socyalistyczne zaczepki ułatwił mu jednak fakt, że socyaliści ponieśli tak dorażną klęskę. Nie bardzo jednakże chce się wierzyć, by klęska ta była zapowiedzią rozbicia się partyi socyalistycznej, szczególnie gdy się zważy, że socyaliści bądź jak bądź liczbę swoich zwolenników pomimo klęski — powiększyli, i to znacznie, bo o dwieście tysięcy głosów.

Zasłużonej krytyce poddał także stanowisko rządu ks. Radziwiłł — i miał podczas swojej przemowy taką ciszę, jaką zaledwie cieszy się sam kanclerz. Robi to stare jego, historyczne nazwisko, książęcy tytuł i wiek oraz nadzwyczaj imponująca postawa.

Ks. Bülow wypowiedział w czasie swych mów zdanie, które mnóstwo uwag wywołało w prasie niemieckiej. Użyliśmy wyrażenia tego już dwukrotnie, tłómacząc je z niemieckiego „Paarung von liberalem mit konservativem Geiste“ — na „kojarzenie liberalnego i konserwatywnego ducha.“

Niestety ks. Bülow nie określił bliżej, jak to kojarzenie się dwóch, tak sprzecznych ze sobą pojęć rozumie. Chodziło mu, mówiąc językiem mniej teoretycznym o to, ażeby zaznaczyć, że w przyszłości pragnie rządzić z liberałami i konserwatystami do spółki.

Czy jest to możliwe? Liberalizm i konserwatyzm historycznie są sobie tak przeciwne, że na seryo nikt nie wierzy, ażeby te dwa prądy na długo ze sobą się zgadzały. Jest to zlepek polityczny przypadkowy, który przy lada okazyi się rozlepi. Co wówczas zrobi ks. Bülow? Czy znowu rozwiąże parlament? — Czy nawróci się do centrum?

Oto pytania, które się nasuwają wobec faktu, że rząd ostatecznie z centrum zerwał, i że nie ubezpieczył sobie *jednolitej* większości w parlamencie takiej, któraby mu gwarantowała możność rządzenia na przyszłość.

Oczywiście rząd tego przyznać nie chce. Nie chce się przyznać do tego ks. Bülow, udaje zucha wobec narodu niemieckiego i parlamentu. Nie może atoli zapobiedz temu, że tu i owdzie przebąkują o jego ustąpieniu, ponieważ — takie jest ogólne uczucie — sytuacya w parlamencie jest *niepewna*.

I tak też jest istotnie. Jak długo atoli sytuacya potrwa, to zależeć będzie od zręczności ks. Bülowa, od tego, czy uniknie, a raczej czy zdoła uniknąć starcia pomiędzy temi dwoma partyami, na których chce oprzeć swoje rządy, t. j. pomiędzy liberałami i konserwatystami.

Pytanie tylko, czy centrum nie będzie od niego zręczniejsze i nie napędzi jednę z tych partyi na drugą tak, że nastąpi pomiędzy niemi starcie, którego wynikiem może być albo rozwiązanie parlamentu i przedłużenie obecnej sytuacyi — albo puszczenie Bülowa na odstawkę.

d.

Przegląd prasy.

Strejk szkolny wszedł — jak wiadomo — wydaleniem gimnazyastów w nową fazę.

W sprawie tej konferował ks. prałat Jażdżewski z ministrem Studtem i jego dyrektorami. Konferencya ta nie wydała pozytywnych rezultatów. Nie można jej jednakże — jak to czyni *„Goniec Wielkopolski“* — nazywać *niefortunną*. Była ona konieczna raz, że posłom naszym nie możliwem było wnieść interpelacyę; powtóre, że do posłów naszych zwracali się rodzice wydalonych gimnazyastów o radę.

Konferencya powyższa wykazała nader dobitnie, że rządowi *zależy bardzo* na tem, by *strejk ustał*.

Inna rzecz, że osoba delegata, ks. prałata Jażdżewskiego, domniemanego następcy ś. p. ks. arcybiskupa Stablewskiego, wywołała pewne *uzasadnione* zdziwienie, tem więcej, że znana dyplomacya ks. prałata okazała się znów fatalną przy omawianiu strejku szkolnego w komisyi budżetowej sejmu psurkiego. Ks. poseł bowiem — mimo iż sam jest duszpasterzem od szeregu lat — nie zdołał jeszcze wyczuć, że strejk jest żywiołowym ruchem społeczeństwa naszego, wywołanym *koniecznością obrony* najdroższych mu uczuć religijnych i narodowych, że nie ma w nim przyczyn politycznych.

Pogłoska o mianowaniu ks. Jażdzewskiego *arcybiskupem* gnieźnieńsko-poznańskim wywołała różne komentarze w prasie naszej. I tak *„Dziennik Berliński“* nie daje wiary powyższej pogłosce ze względu na to, że

> rząd żądałby za cenę arcybiskupstwa od ks. Jażdzewskiego takich ustępstw, którychby on jako *prawy* Polak przyznać nie mógł. A za prawego Polaka nie przestaliśmy go uważać, mimo żeśmy go jako *nierozumiejącego* już ducha czasu i społeczeństwa swego polityka musieli zwalczać, i mimo że nie dalej jak w sobotę zdarzyło mu się w komisyi budżetowej sejmu pruskiego znowu pewne wykolejenie, gdy wbrew ogólnej opinii polskiego społeczeństwa przyznał ministrowi Studtowi, że przyczyny strejku szkolnego są „może także *polityeznej* natury“. Nie pierwsze to wykolejenie się ks. prał. Jażdzewskiego, bywały już gorsze, lecz kładło się to na karb do dyplomatyzowania wiecznie skłonnej natury tego polityka. Za te jego wykolejenia odebrało mu też teraz społeczeństwo mandat parlamentarny. To wotum niezaufania dla ks. Jażdzewskiego jako *polityka* nie miało być wcale jednoznacznem z niezaufaniem do niego jako do *Polaka*.

Zgadzając się na powyższe wywody „Dziennika Berl.“, o ile one odnoszą się do *osoby* ks. Jażdzewskiego, zdaje nam się, że w obecnej chwili *przedwczesne*, a w każdym razie wobec tajemniczości odnośnych sfer *nieuchwytne* są wieści o kandydatach. To też zupełnie słusznie z dowcipem napisał *„Kuryer Poznański“*, omawiając powyższą kandydaturę,

> że ks. prał. Jażdzewski jest człowiekiem posiadającym inteligentny dowcip i lubiącym dobre żarty polityczne.

Jak szybko zmieniają się kandydaci dowodzi i to, że prawie równocześnie podał *„Dziennik Poznański“* wiadomość telegraficzną ze Rzymu, poręczoną wiarogodnością „znanego źródła“, że wybór ks. biskupa *Likowskiego* na stolicę arcybiskupią *zdaje się* być zapewnionym.

A więc znów *„zdaje się“*. Najpolityczniej będzie, *odczekać*, a nie *bawić* się w podobności i możliwości.

Na walnem zebraniu *Centr. Towarzystwa gospodarczego* wygłosił pan Turno z Objezierza odczyt na temat *„Jak zatrzymać stałego robotnika na wsi?“* Prelegent omawiając przyczyny ruchu wychodźczego podkreślał

jego szkody, szczególnie dla robotnika miejskiego. Wykazując wady i błędy w stosunku właściciela do robotnika zaproponował w końcu swego wykładu, by „w Centralnem Towarzystwie utworzono *wydział pracy nad ludem.*“ W ożywionej dyskusyi przebijał ton przychylny robotnikowi. „*Postęp*“ referując o powyższem zebraniu charakteryzuje je w następujący sposób:

Wykazywano tam różne niedostatki, jakie powodują brak robotnika, a zarazem podawano środki zaradcze jak temu zapobiedz, aby robotnika polskiego w kraju zatrzymać. Te dobre chęci większych panów rolników *powinni* robotnicy wziąć na uwagę i nie opuszczać polskich dziedziców, skoro ci pragną polepszyć i zarobek i ogólne stosunki robotników.

Otóż wykazywanie braków, podawanie środków zapobiegawczych itd. nie wystarcza jeszcze wcale, *nie może zadowolić naszego robotnika,* jeżeli tym słowom i dobrym chęciom *nie będą towarzyszyły czyny.* To jest *najważniejszy* argument. Nie wątpimy że myśl poruszona przez p. Turnego dodatnie i dla właściciela i dla robotnika mieć będzie skutki, *o ile* większość jego rad i wskazówek posłucha. Wątpimy jednakże, by *wszyscy* poszli za nim.

Naszem zdaniem skargi i niezadowolenia natenczas ustaną, a w każdym razie na normalne wypłyną tory, skoro nie tylko *dobra wola* podlegająca zbyt często ludzkim ułomnościom regulować będzie stosunek wzajemny pracodawcy do pracobiorcy rolnego, lecz skoro *prawne* podstawy stosunek ten unormują. Jestto możliwem na drodze przyznania *prawa koalicyjnego* robotnikowi rolnemu. O przyznanie prawa tego domaga się, jak wiadomo, i Koło polskie, żądając pozatem *„rozszerzenia zabezpieczenia w razie choroby robotników rolnych i służby.“*

Tylko na tej, prawodawczej drodze — dającej swobodę robotnikom, a obowiązucej właściciéli — dojdziemy do *normalnych* warunków w stosunkach robotniczych na wsi.

Powrócimy do tej nader ważnej dla nas sprawy, skoro parlament nią się zajmie.

Co i jak czytać?

(Rzut oka na obecny stan piśmiennictwa).

Pomimo przodującej roli, jaką krytyka wyznaczyła Sienkiewiczowi, nie stworzył on tak zwanej szkoły*). Dla czego? Oto z tej prostej przyczyny, że każdy z naszych autorów mniej lub więcej wybitnych jest o tyle oryginalnym, że własną idzie drogą, nie zapożyczając od nikogo pomysłów ani formy. — Każdy z nich ma nietylko odrębny styl, ale i odmienny sposób obserwacyi, inny punkt widzenia rzeczy i zjawisk, słowem inną formę artystyczną.

Ztąd niewłaściwem byłoby porównywać któregokolwiek z młodych i najmłodszych naszych pisarzy z Sienkiewiczem, lub też porównywać ich pomiędzy sobą, lecz raczej każdego z osobna należy studyować i oceniać jako indywidualność samodzielną. To jest właśnie zadaniem naszej pracy, która ma przedstawić czytelnikom całokształt bieżącej literatury i zwrócić ich uwagę na ten fakt znamienny, że im więcej naród politycznie jest gnębiony, tem świetniej objawia swą duchową siłę w piśmiennictwie.

Dzieje nasze porozbiorowe wymownym są tej prawdy dowodem. Nigdy przedtem, w najświetniejszych epokach historyi literatura nasza nie była tak bogatą w oryginalne i wybitne talenta, jak w epoce Mickiewicza. Każdy z trójcy wieszczów naszych stworzył inny kierunek, każdy sam w sobie w dziedzinie twórczej stanowi świat odrębny, wielki i niezależny, w którym nie ma współzawodnictwa, ani małostkowej zawiści. Myśl tę wyraził Mickiewicz, mówiąc o stosunku swym do Słowackiego:

„. . . . a tak się żegrają — nie wrogi,
lecz dwa na słońcach swych przeciwnych — bogi!“

Chwile zaś obecne, dla nas pełne klęsk i bólów, dla braci naszych w Królestwie okres wielkich kataklizmów społecznych jest dla literatury epoką niesłychanie płodną i bogatą.

W poezyi, zarówno jak w prozie dziwnie że tak powiem upoetyzowanej orygonalność pmysłów, przepych i błyskotliwość stylu, bogactwo przenośni dosięgły niebywałych wyżyn.

I dla wiary i dla ducha
W kraju duchów śmierci nie ma,
Choć dmie wieków zawierucha,
Dom się w węglach swoich trzyma....“

(Pol.)

M. G.

* Szkoła w literackiem znaczeniu stanowi pewną jednolitość i wspólność treści i formy artystyczych utworów, która łączy pokrewne duchem talenty. Taką szkołę stworzył Mickiewicz (szkoła romantyczna) Malczewski (szkoła ukraińska.

Ostatnie wiadomości.

Teatr.

W dzisiejszym „Gońcu Wielkopolskim“ ukazała się „obrona“ p. dyrektora Rygera przeciw krytykowi teatralnemu „Kuryera Poznańskiego“ p. Bitru. Nie wchodząc w ocenę krytyk p. Bitru stwierdzamy tylko to, że p. Ryger, broniąc się, napada w sposób wprost bezczelny p. Bitru, tykając nawet jego prywatną działalność przemysłową. Śmieszna jest naiwność p. Rygera, biorącego dowcip — objęcie dyrekcyi teatralnej przez młode siły — za dobrą monetę.

Ubolewać jedynie należy, że znalazło się pismo, które ową „obronę“ nie tylko umieściło, lecz w swoich uwagach redakcyjnych kwiatkami osobistemi a la mydlarz, nadkrytyk i t. d. „okrasiło“.

Rzecz sama — niesłychana w polemice teatralnej — *bije* się swoim tonem z ulicy i umysłowem ubóstwem. Polemiczny ferwor unosi redakcyę tak dalece, że wygłasza „kulturalne“ zdanie, że „szewc ma pilnować swego kopyta, aktor sceny“, mydlarz mydła, — zapominając przypadkowo zapewne dodać natenczas, że i zecer zecerni.

Pozatem w imię dobra teatru i swobodnej krytyki teatralnej, która, chociażby najsurowsza, jedynie kulturę artystów i dobro teatru ma na celu, a nigdy *nie jest,* bo być *nie może,* osobiście zaczepna, *protestujemy* przeciw elaboratowi p. Rygera i taktyce „Gońca Wielkopolskiego“ nie licującej z godnością dziennikarską.

* * *

Środowy wiec *młodzieży handlowej* w sprawie wyborów do *sądu kupieckiego odrzucił* kompromis z Niemcami i żydami, a postanowił głosować na osobną listę polską. Widoki zwycięstwa *całej* listy polskiej są znaczne.

* * *

Środowe zebranie *Towarzystwa Pomocy Naukowej na miasto Poznań* cieszyło się dość licznym udziałem udziałem członków. Powrócimy do niego przy sposobności referatu z walnego zebrania *Pomocy Naukowej,* które odbędzie się dziś dnia 7 b. m.

Wiadomości.

*** Konfiskata i rewizya.** W ubiegłą sobotę w południe przybyło do redakcyi i lokali naszego wydawnictwa kilkunastu urzędników policyjnych, by na mocy uchwały sędziego śledczego odbyć rewizyę i skonfiskować nakład numeru 9-go „Pracy“ z powodu

zamieszczonej w „Przeglądzie prasy“ uwagi od redakcyi, dotyczącej zbierania składek przez „Gazetę Ostrowską“ dla wydalonych gimnazyastów dlatego, że ich bracia lub też siostry w szkole strejkują. W notatce tej dopatrzyła się prokuratorya rzekomego wykroczenia przeciw dziś tak słynnemu paragrafowi 110 — podburzanie przeciw zarządzeniom państwowym. Jednocześnie skonfiskowała policya na poczcie poznańskiej wszelkie tam dotąd dla zamiejscowych naszych Czytelników wysłane przez nas egzemplarze wzmiankowanego numeru „Pracy.“

Połączona z konfiskatą *rewizya* w lokalach naszych redakcyjnych *była bezskuteczną,* gdyż rękopisu inkryminowanego artykułu nie znaleziono.

Czeka więc nas w krótkim czasie ósmy z rzędu proces, a w dodatku już jeden z naszych redaktorów znajduje się za kartkami więziennemi. Przeżywamy rzeczywiście w czasie wielkopostnym istne „Dni krzyżowe,“ połączone z wielkiemi stratami moralnemi i materyalnemi.

Rodacy współczujcie z nami i złagodźcie nam te srogie ciosy choćby materyalnie najliczniejszem zapisywaniem sobie „Pracy“ na poczcie i w naszej ekspedycyi *na miesiąc marzec oraz na nowy kwartał.* —

Przez pół dnia sobotniego zdołaliśmy wydrukować i rozesłać Czytelnikom w drugim nakładzie tylko „Dział polityczny,“ więc zmuszeni byliśmy powtórzyć z „Działu illustrowanego“ skonfiskowanego numeru 9-go w interesie Czytelników następujące artykuły i powieści: Członkowie Koła polskiego w parlamencie niemieckim. III. W Prusach Zachodnich. — Z wędrówki po Królestwie Polskiem (pierwszą część artykułu). Wygrywający los. Tadeusz Rejtan (odcinek 6) i „Gady“ (odcinek 15).

* **„Testament bankiera.“** Pod tym tytułem rozpoczęliśmy w niniejszym numerze druk bardzo sensacyjnej powieści, która zajmie uwagę Czytelnika od początku do końca.

Powieść ta jest tak interesująca, że Czytelnik z wzrastającem po przeczytaniu każdego rozdziału zaciekawieniem i z nerwową niecierpliwością czekać będzie na dalszy ciąg.

Nowi abonenci otrzymają początek *„Testamentu bankiera“* bezpłatnie, jeżeli nam nadeślą na porto znaczek pocztowy dziesięciofenygowy.

* **Wioskę** *szlachecką Minikowo* wraz z folwarkiem *Minikówko* razem około 800 mórg dobrej ziemi, tuż pod Poznaniem położoną, *własność domu bankowego Drwęski i Langner (Marcin Biedermann), w Poznaniu,* nabył mocą kupna rodak nasz p. *Wojciech Muth,* znany obywatel z Jeżye pod Poznaniem. Zdanie gospodarstwa już nastąpiło.

* **Procesy prasowe.** Na kary pieniężne razem marek 590 albo 59 dni więzienia zasądziła dnia 1-go b. m. Izba karna w Poznaniu redaktora „Kuryera Pozn.“ p. *Każmierza Ziółkowskiego* w czterech sprawach za przestępstwa określone § 110 kod. kar. na tle strejku szkolnego. Dnia 4-go b. m. toczył się znowu 16-ty z rzędu proces przeciw p. *Ziółkowskiemu* przed wzmiankowaną Izbą karną na tle strejku szkolnego o obrazę nauczyciela Obsta w Pile; sąd zawyrokował 30 m. kary. Razem skazany został p. Ziółkowski dotychczas w procesach o sprawę szkólną na 2920 m. oprócz kosztów, które także będą nie małe.

Redaktora „Dziennika Kujawskiego“, p. *Jankowskiego,* skazano w Inowrocławiu dnia 1-go b. m. za obrazę p. rektora Matschewsky'ego i nauczycieli szkoły inowrocławskiej przy Toruńskiej szosie w artykule „Kij w szkole pruskiej“ na 200 marek kary, lub 20 dni więzienia. Prokurator wniósł o 1 miesiąc więzienia.

Odpowiedzialny redaktor „Gaz. Gdańskiej“ skazany został za 10 artykułów i korespondencyi w sprawie szkólnej na 700 marek kary lub 70 dni więzienia. Prokurator wniósł o 1400 marek kary.

* **Tow. Czytelni Ludowych.** Wszelkie korespondencye w sprawie towarzystwa naszego, zakładania bibliotek itd., prosimy wysyłać wprost do biura naszego pod adresem: *Czytelnia ludowa Poznań (Posen Bäckerstr. 10.*

Adres skarbnika: Dr. Kapuściński Poznań (Posen).

* **Tow. Czytelni Ludowych** rozpoczęło przed rokiem wydawać kwartalnik pod tytułem „Czytelnia Ludowa“.

P. Dr. Stefan Michalski, Poznań, Chwaliszewo 76 (Posen, Wallischei), zajmuje się redakcyą, wysyła na okaz darmo pojedyńcze egzemplarze i przyjmuje przedpłatę, wynoszącą tylko 2 marki rocznie.

„Czytelnia Ludowa“ jest koniecznie potrzebnym łącznikiem centralnego zarządu z pojedyńczemi filiami i ogłasza dokładne informacye ze stanu i z działalności wszystkich bibliotek, znajdujących się w obrębie granic niemieckich. Prócz tego podaje kwartalnik jeszcze sprawozdania z pracy pokrewnych zakordonowych towarzystw, umieszcza rozmaite statystyki w kwestyach zależnych od oświaty i wreszcie ogólniejsze artykuły, tyczące się rozwoju publicznego czytelnictwa u innych także narodów.

Treść kwartalnika może więc zadowolić i wybredne nawet wymagania, a ponieważ abonament jest tak niski, że niepokrywa jeszcze ani kosztów nakładu, przeto skuteczną będzie pewnie apelacya do całego społeczeństwa, aby ów kwartalnik zamawiał każdy, kto nie słowem tylko, ale i uczynkiem chce oświatę naszą pchnąć na odpowiednie tory przez popieranie wszelkich usiłowań *Towarzystwa Czytelni Ludowych w Poznaniu.*

* **Koncert** *„Lutni“.* O utworach *Henryka Opieńskiego* i jego talencie kompozytorskim francuska i niemiecka prasa i nasi krytycy za kordonami z wielkiem wyrażają się uznaniem.

„Kuryer Poranny“ pisze:

„Szczerość natchnienia, smak wytworny i pomysłowość opracowania nadaje tym utworom wartość poważną. Jako kompozytor zdobył sobie Henryk Opieński już w prasie niemieckiej uznanie.

Po wysłuchaniu kompozycyi jego wyrażamy gorące życzenie, aby utwory Opieńskiego częściej znajdowały się w programach koncertowych. Gra skrzypcowa p. Opieńskiego odznacza się bardzo pięknym tonem, oraz frazowaniem uczuciowem i subtelnem.“

* **Z teatru.** W sobotę: *Benefis Aleksandra Staniewskiego,* który od lat kilku wiernie służy scenie naszej. Odegranym będzie dramat historyczny p. t. *„Krwawe piętno“* hr. Starzeńskiego. (Abonament uchylony.)

Dowiadujemy się, że na przyszły tydzień odbędzie się benefisowe przedstawienie zdolnego i sympatycznego artysty sceny naszej p. *Jaracza.* Nie wątpimy, że w teatrze nie będzie ani jednego miejsca wolnego. —

W niedzielę po południu o 3-ciej: *„Harde dusze“*, sztuka w 6 odsłonach z powieści E. Orzeszkowej (pół ceny).

W niedzielę wieczorem: *„Krwawe piętno“*, dramat w 3 aktach. (Ceny zwyczajne.)

* **Podziękowanie.** W imieniu towarzyszy broni Polaków za krzepienie ducha przez ciągłe przesyłanie nam książek polskich patryotycznych i naukowych, których w legii zagranicznej od roku 1902-go prawie wcale nie było, — ośmielamy się złożyć na łamach cennego pisma „Praca“ najserdeczniejsze podziękowanie W.Pannie Halszce Gałdyńskiej z Grandowa, zaznaczając, iż Jej winni jesteśmy niejedną chwilę ukojenia, przenosząc się myślą do ziem ojczystych i czerpiąc sił w modlitwie na tułactwie.

Marceli Kozankiewicz, Franciszek Pell,
Tlemcen. Sidi Bel-Abbes.
Afryka.
Luty, 22-gi 1907 r.

* **Samouczek św. Anny!** Pod takim tytułem wydało Towarzystwo Czytelni Ludowych książeczkę do początkowej nauki ojczystego języka.

Ponieważ innej mowy prócz niemieckiej, dzieci w szkole się nie uczą, więc znają też tylko alfabet niemiecki i z tej przyczyny trudno im jest uczyć się czytać i pisać bez pomocy starszych osób.

Samouczek św. Anny usuwa tę niedogodność, podając obok polskich glosek także niemieckie, które dziecko już zna ze szkoły. Odmienne urządzenie książeczki wynikło z koniecznej obecnie potrzeby umożliwienia samouctwa choć rozumie się, że przy pomocy osób, umiejących czytać i pisać po polsku, dziecko osiągnie zamierzony cel o wiele łatwiej i prędzej.

Autor użył metody, uznanej ogólnie za najlepszą. W pedagogicznych kołach zwie się krótko „normalką“ i ma tę zaletę, że ułatwia spamiętanie przez obrazek rzeczy, której nazwa regularnie się rozpoczyna tem właśnie

brzmieniem, jakie dziecko ma czytać i pisać.

Można mieć zatem słuszną nadzieję, że ów samouczek odda dobre usługi społeczeństwu, ponieważ ułatwia znacznie postępy tym mianowicie dzieciom, którym przy nauce nikt nie może pomagać.

Zamówienia załatwia Czytelnia Ludowa w Poznaniu, Piekary 10, (Posen, Bäckerstr. 10).

* **Nowa** *walka kulturna.* Ks. wik. Stefan Kruszka z Opalenicy skazany został dnia 4-go b. m. przez Izbę karną sądu okręgowego w Grodzisku za nadużywanie ambony do wzywania do nieposłuszeństwa wobec zarządzeń władz (§ 130 a) na 400 m. kary lub 40 dni więzienia. Prokurator wniósł o 3 miesiące więzienia. Obroną kierował p. mec. Woliński z Poznania.

* **Wydalenie** *gimnazyastów Polaków,* których rodzeństwo bierze udział w strejku szkolnym, trwa dalej.

* **Pomoc naukowa** *w Wrocławiu.* Członków „Pomocy Naukowej" oraz wszystkich, którzy nie wstąpiwszy do towarzyystwa, oświadczyli gotowość płacenia składek dobrowolnych, proszę niniejszem wobec zbliżającego się semestru latowego, na który nowe stypendya wypłacić musimy, o łaskawe spieszne uiszczenie się z zaległych składek. Przypuszczać będę, że wszyscy ci, którzy do 15. marca składek nie nadeślą, zgadzają się na to, bym od nich składki przez zaliczkę pocztową pobrał.

Równocześnie kwituję z odebranych od ks. S. z K. 150 marek.

Katowice, dnia 1. marca 1907.

Zygmunt Scyda, skarbnik.

* **Wielki wiec** *w Mühlheimie* n. Renem w sprawie nabożeństw polskich odbędzie się w niedzielę 10-go b. m. o godz. pół do 2 po południu na sali P. Rebholza przy ulicy Regentenstr. No. 9. Z powodu bardzo ważnych spraw jest konieczną potrzebą każdego rodaka katolika na ów wiec jak najliczniej podążyć. Nabożeństwo polskie odbędzie się zaraz po wiecu o godz. 5-tej. O jak najliczniejszy udział we wiecu oraz w nabożeństwie uprasza w imieniu komitetu miejscowego

Jan Dymek.

* **Wilda.** Miałem niedawno sposobność odwiedzić ćwicznię Sokoła wildeckiego. I co tam ujrzałem? Otóż na pierwszy rzut oka podpadło mi to, z jaką chęcią i zamiłowaniem zabierali się druhowie do gimnastyki. Naraz zawołał naczelnik: „Do szeregu!" Jakoby trąby i kotły zabrzmiały te dwa wyrazy. Zdawało mi się, że na to hasło całe obywatelstwo wildeckie jak jeden mąż podąży tam gdzie je wołają. Wydaje naczelnik rozkaz: odliczyć! I jaki rezultat wyniknął z tego? 15. Więc piętnastu tylko gimnastyków cała Wilda „Sokołowi" dostarczyła? Niepodobieństwem się to wydaje, lecz tak jest! Wilda zaniedbuje bardzo swe obowiązki wobec społeczeństwa, co może mieć smutne następstwa. Niech więc młodzież wildecka nie będzie na przyszłość tak gnuśną i jak najliczniej wstępuje do szeregów „Sokoła", a wtedy będzie „myśl zdrowa w zdrowem ciele".

St. A,

* **Prośba.** Szanownych rodaków uprzejmie proszę rozesłane petycye do Ojca św. do Rzymu z powiatu brodnickiego, zaopatrzone w podpisy wszystkich, którzy 21 lat skończyli, jako też matki i wdowy, spiesznie łaskawie przesłać do redakcyi „Pielgrzyma", Pelplin WPr.

Bolesław Bardzki.

* **Koźmin.** Dnia 12-go lutego rb. odbyła się rzadka uroczystość w Walkowie pod Koźminem u księdza regensa J. Bielewicza, który przyjmował młodego lewitę przystępującego po raz pierwszy do ołtarza, ażeby Bogu złożyć ofiarę bezkrwawą w swym kościele parafialnym, przybranym w zieleń, kwiaty i transparenty.

Młodym prymicyantem był ksiądz Stanisław Michalski, siostrzeniec ks. Regensa Bielewicza a syn Julianowstwa Michalskich.

O godzinie 11-tej po załatwieniu zwykłych ceremonii i wygłoszeniu kilku pięknych wierszy przez małą dziewczynkę, wprowadził ks. prymicyanta zastęp kapłanów. Prymicye młodego lewity odbyły się w otoczeniu rodziny, licznego zastępu kapłanów i ludu. Kościół był przepełniony. Liczny udział naszego ludu kochanego świadczy najwymowniej o jego żywej gorącej wierze i przywiązaniu do przewodników duchownych.

Do mszy świętej asystowali księdzu prymicyantowi ksiądz dziekan Obst z Potarzycy, ks. Pieprzycki i ks. Guder. Piękną mowę wygłosił w serdecznych i podniosłych słowach do młodego kapłana wuj prymicyanta ks. proboszcz Adamczewski z Mokronosa. — Podczas mszy św. przyjęli z rąk prymicyanta komunię św. rodzice i rodzina, a chór kościelny wykonał wspaniałe śpiewy.

Uroczyste Te Deum zakończyło pierwszą mszy św. ofiarę, potem nastąpiło udzielanie błogosławieństwa.

Po skończonych ceremoniach odprowadzono księdza Stanisława na plebanią, gdzie wszystkim w serdecznych słowach podziękował. Poczem podejmował liczne grono gości na plebanii ksiądz regens J. Bielewicz z staropolską gościnnością i szczerością.

Szereg toastów rozpoczął ks. dziekan Obst z Potarzycy. Powinszowań odebrał młody kapłan z różnych stron bardzo wiele.

Jeden z uczestników.

W. S.

Korespondencyą powyższą, nadesłaną nam zaraz po prymicyach, odłożyć musieliśmy z powodu nawału materyału do niniejszego numeru, za zwłokę przepraszamy Szan. Korespondenta. — Przyp. Red.

* **Rawicz,** dnia 5. 3. 07.

Dzisiaj rano zarządzono z rozporządzenia prokuratoryi poznańskiej w księgarni *I. Mrówczyńskiego* rewizyę; poszukiwano niebezpiecznego śpiewnika „Bukiet pieśni światowych" przez Chociszewskiego nakładu p. Leitgebra przez prokuratoryą skonfiskowanego.

* **Katowice.** G. Ś. — Wykłady ludowe, mające się tutaj odbywać, zakazane zostały przez miejscową władzę policyjną, która Komitetowi doniosła w ostatniej chwili piśmiennie, że *naukowe wykłady* uważa za *zabawę* — Lustbarkeit — a ponieważ właściciel sali nie posiada ogólnego konsensu na urządzanie zabaw, zakazuje więc policya wygłaszania odczytów. Zakaz to niesłychany i nigdzie dotąd nie praktykowany. Komitet wykładów ludowych imienia Adama Mickiewicza zażalił się natychmiast na postępowanie policyi.

* **Halla nad Saalą.** 25. II. 07. W dniu 24-go lutego 1907 zebrali się członkowie nasi celem wspólnego pożegnania jednego z członków honorowych p. Tadeusza Fleszyńskiego słuchacza akademii, który przez dłuższy czas pobytu swego u nas, odwiedzał towarzystwo nasze, „Polsko katolickie im. św. Franciszka" i prawie co 2-gą niedzielę zgromadzał członków i nieczłonków i wygłaszał odczyty naukowe pouczające.

Za jego inicyatywą przyszła biblioteka Towarzystwa do porządku, za jego inicyatywą ofiarował p. Jan Gromadzki Towarzystwu śliczny podarunek, osiem patryotycznych obrazów, wartości przeszło 80 mrk. Pan F. wszelkie niezgody pomiędzy członkami przyprowadził do porządku.

Celem uprzyjemnienia wieczoru członkowie wypowiedzieli kilka monologów.

W końcu prezes Towarzystwa pan Jan Kurzawski wręczył p. F. imieniem Towarzystwa dyplom honorowy. Pan F. podsiękował członkom za taką wdzięczność.

Jeden z obecnych zaproszonych gość.

* **Monaster.** Niżej podpisany zarząd składa panu Władysławowi Figasowi z Monasteru serdeczne podziękowanie za nadesłanie 20 książek. Towarzystwo przyjmuje chętnie różne książki, które prosimy na ręce prezesa p. J. Płazińskiego w Monasterze Clemensstr. nr. 24 nadsyłać.

Zarząd Tow. „Sobieski" w Monasterze.

* **Bedak, siodlarz** prosi Szanowną Publiczność o wskazanie miejscowości w mieście lub na dużej wsi gdzieby się mógł osiedlić i liczyć na pewną klientelę. O łaskawe oferty prosi do redakcyi „Pracy".

* **Chleb dla swoich.** (Ogłoszenie XVII z d. 1. III 07.) Następujący przedsiębiorcy, posiadający powien kapitał, znajdą bez konkurencyi rodaków, dobre utrzymanie: 1) blachnierz, 2) ślusarz, 3) kupiec żelaza; wszystkie 3 przedsiębiorstwa na większą skalę. Informacyi udziela Biuro Straży. Adres: Dr. Tadeusz Jaworski Poznań — Posen. Prosimy o znaczek na odpowiedź.

* **Zakład fotograficzny** *P. Gdeczyk w Gnieźnie,* renomowane i znane przedsiębiorstwo, ma na składzie fotografie wizytowe i gabinetowe: posła p. Grabskiego, ks. biskupa Andrzejewicza, ks. proboszcza Piotrowicza, których podobizny zamieściliśmy w „Pracy", p. Józefa Chociszewskiego i inne.

Zakład powyżej wzmiankowany polecamy gorąco względom Szanownej Publiczności Gniezna i okolicy.

Ruch w Towarzystwach.

* **Gniezno.** Nadzwyczajne walne zebranie Tow. ogrodników i przyjaciół ogrodnictwa na powiaty gnieźnieński, witkowski i wągrowiecki odbędzie się w przyszłą niedzielę, dnia 10 bm. o godz. 2-giej po południu w lokalu zwykłych posiedzeń w cukierni p. B. Smętkowskiego przy ulicy Warszawskiej. Z powodu nadzwyczajnych obrad o jak najliczniejszy udział prosi

Zarząd.

Goście mile widziani.

* **Baczność Druhowie** *okręgu* X. W niedzielę dnia 10 marca br. o godzinie $3^1/_4$ po południu w *Herne* w domu Czeladzi katolickiej (Katholisches Gesellenhaus) przy ul. Nowej odbędzie się *pierwszy wielki wiec sokoli* w sprawie gimnastyki dla *okręgu X*, na który zapraszamy wszystkich druhów naszego i sąsiednich okręgów oraz wszystkich rodaków z Herne i okolicy. Kochani rodacy pokażmy, że nam sprawa narodu nie jest obojętną i podążmy wszyscy jak jeden mąż na wiec, aby obszerna sala się zapełniła po same brzegi. Czołem!

W. Siudziński,
naczelnik okręgu X.

Nekrologia.

† Ś. p. *ks. Piotr Walterbach*, proboszcz i dziekan kostrzyński, umarł dnia 22-go z. m. w 74-ym roku życia a 49 kapłaństwa w Kostrzynie. Zasnął cicho jak całe życie jego było ciche. Rano po mszy zaniemógł, a na wieczór nastąpił paraliż serca.

Zmarły należał do tych kapłanów, którzy nie zażywają żadnego większego rozgłosu i nie dbają o niego, ale za to są pełni cichych, wielkich cnót.

W parafii kostrzyńskiej pracował śp. ks. Walterbach lat 39. Wychował sobie całe pokolenia parafii; żył dla nich, miłował ich, był nawzajem przez nich miłowany i czczony.

Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie!

† S. p. *ks. Władysław Hemmerling*, pleban z Goraja, umarł dnia 25-go z. m. w 46-ym roku kapłaństwa. Urodzony w roku 1834, święcenia kapłańskie otrzymał 1860 roku, a proboszczem w Goraju był od roku 1893. Ksiądz Władysław Hemmerling był dobrym Polakiem i gorliwym duszpasterzem, więc strata dla parafii wielka. R. i p.

† S. p. *Julia z Mańkowskich hrabina Stanisławowa Ostrowska*, dnia 22-go z. m. w Poznaniu, przeżywszy 64 lata. R. i p.

† S. p. z *Jankowskich Ludwika Chacharowska*, dnia 24-go z. m. w Kórniku, przeżywszy lat 72. R. i. p.

† Ś. p. *Franciszka Teofila Mlicka*, dnia 26-go z. m. w Złotnikach w 72-im roku życia. Zwłoki złożono w grobie familijnym w Ossówcu dnia 2-go b. m. R. i. p.

† Ś. p. *Kamila z Łożyńskich Klein*, córka b. dyrektora gimnazyum w Chełmie, dnia 28-go z. m. w Chełmie. R. i. p.

† Ś. p. *Antoni Suchorzewski*, dnia 1-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 89. R. i, p.

† Ś. p. *Rozalia z Zwolskich Jerzykowska*, wdowa po śp. profesorze Antonim Jerzykowskim, dnia 4-go b. m. w Poznaniu. R. i. p.

† Ś. p. *Antoni Rychłowski*, dnia 2-go b. m w Poznaniu, przeżywszy lat 34. R. i. p.

† Ś. p. *Eleonora z Smitkowskich Beuge*, dnia 2-go b. m. w Poznaniu. R. i. p.

† Ś. p. *z Szpotańskich Pelagia Wiśniewsha*, dnia 1-go b. m. w Miłosławiu, przeżywszy lat 67. R. i. p.

† Ś. p. *Józef Panieński*, adwokat i notaryusz z Inowrocławia, dnia 3-go b. m. w Poznaniu. Zmarły przez dłuższy czas praktykował w Poznaniu i cieszył się ogólnem poważaniem. R. i. p.

† Ś. p. *Kazimierz Różański*, weteran z roku 1863, dnia 5-go b m. w Poznaniu. R. i. p.

† S. p. *Maksymilian Kosiński*, weteran z roku 1830 i Sybirak, dnia 1-go b. m. w Drawsku pod Wieleniem. R. i. p.

Nasza ofiarność.

Na pokrycie kosztów agitacyi na Górnym Sląsku: Towarzystwo św. Wojciecha w Dortmundzie 5 mrk; razem zebraliśmy na cel powyższy 18 mrk. 50 fenygów.

Gorąco prosimy o dalsze datki apelując do majętniejszych czytelników w Księstwie. Nie pozwólmy, aby jednostka cierpiała za swoje dobre chęci!! —

* * *

Na biednego weterana z 1863-go roku: p. Kaczmarek z Objezierzia 3 mrk.

Weterana z 1863-go roku, bardzo schorzałego i wielki cierpiącego niedostatek przypominamy miłosierdziu Szanownych Czytelników i prosimy o łaskawe przysłanie datków: dla weterana z 1863-go roku, jak również dla biednego bardzo nieszczęśliwego inwalidy Sosińskiego, który z rodziną znajduje się bez dachu.

* * *

Z Wieszczyczyna nadesłał nam *ks. Walenty Nowicki* spis osób, które w dalszym ciągu złożyły na jego ręce *ofiary na budowę nowego kościoła.* Spisu tego, zamieszczonego w gazetach codziennych, nie podajemy dla braku miejsca.

W końcu tak się ks. N. odzywa do ofiarodawców:

„Wspaniałomyślnym dobrodziejom składam w imieniu parafii szczere podziękowanie za szczodrą pomoc. Z wiosną rozpoczniemy budowę nowego kościoła, który kosztować będzie około 78 tysięcy marek; poważna to suma, ale mam w Bogu nadzieję, że z pomocą serc litościwych wystawimy godny przybytek Pański. O dalsze, choć najskromniejsze datki gorąco proszę.

Ks. Walenty Nowicki

Wieszczyczyn, p. Masłowo 14/2. 07. powiat śremski."

* * *

Z Morzewa nadesłał nam *ks. Leon Klarowicz* spis osób, kóre w dalszym ciągu **złożyły na jego ręce** *ofiary na odbudowanie kościoła w Morzewie.* Spisu tego, zamieszczonego w gazetach codziennych nie podajemy dla braku miejsca.

Ks. K. składa wspaniałomyślnym ofiarodawcom najserdeczniejsze Bóg zapłać i prosi najusilniej o dalszą pomoc.

Adres: Ks. Leon Klarowicz Morzewo p. Erpel. (Bzk. Bromberg.)

Od Redakcyi.

— Panu J. Sęk... w Kolonii. — Sprawę całą z przyczyn od nas niezależnych odłożyć zniewoleni jesteśmy na później.

—Panu Rom. Kl... w Toruniu. — Żałujemy bardzo, że Pan sprawę tę tak późno poruszył. Teraz — po bliższej rozwadze doszliśmy do przeświadczenia, że nie możemy jej odświeżać. Niech Pan jednakże pamięta o tem, ażeby przypomnieć ją na wiecach i w gazetach przy następnych wyborach. Pozdrawiamy Pana serdecznie.

— Panu W... Ul.... na Warmii. — Cieszy nas, że Pan tak szczerze broni p. Kulerskiego. I my posuwamy pobłażliwość najdalej. Znamy jednakże i tej pobłażliwości — granice. Jeżeli od prostego człowieka wymaga się ofiar i spełnienia obowiązku, to nie można dla „wielkich", dla tych, co lud prowadzą — robić furtki w tej zasadzie, i to furtki, przez którąby omijać mu wolno było swe obowiązki. Oczywiście uznanie p. Kul., że darmo drukował karteczki i odezwy — nie każdy wydawca sobie na to może pozwolić. — Nam chodziło tylko o to, ażeby panu K. i innym przypomnieć, że *nikomu* nie wolno wykraczać przeciwko obowiązkom narodowym.

— Panu A. Wieczorkowi w Toruniu. — Na podstawie zebranego od poznańskich agitatorów materyału spokojnie czekamy na Pańskie „kroki", jakiemi nam Pan grozi. I owszem, będziemy mieli sposobność udowodnić Panu przed sądem, że to, co Pan o poznańskich agitatorach głosił — jest nieprawdą. Takie rzeczy sądzą się same przez się. My nie mamy czego odwoływać, to raczej Pan powinien odwołać obelgę, jaką Pan rzucił na poznańskich agitatorów. W ich obronie musieliśmy wystąpić.

— Gelsenkirchen: WPan Jan Rych... — Czytaliśmy list Pański z prawdziwem zajęciem; nie godzimy się coprawda na część Pańskch wyjaśnień, temwięcej, że chcąc być objektywnym, *siłą rzeczy* stał się Pan jednostronnym. — Sprawę samą zbadamy.

(Przedruk wzbroniony.)

Dwanaście ostatnich godzin.

PAWEŁ ALBERS.

Górnośląska nowelka tłumaczona z niemieckiego przez Empę.

Mroźny wiatr marcowy szumiał na polnej drodze, zsypując śnieg już to w rowy, już to zmiatając go razem w małe pagórki.

Bezlistne drzewa trzeszczały i pochylały się nisko, a zgłodniałe wrony i kruki latały w koło nich, wydając ochrypłe i przeciągłe krzyki.

Kto nie musiał dziś wychodzić na pole, ten siedział w domu przy ciepłym piecu i mówił z zadowoleniem:

— Okropne powietrze! Psa by się z domu nie wypędziło. Biada temu, kto dziś wyjść musi!

Na drodze wiodącej do Pilszowic szedł też jeden tylko wędrowiec, a wytarty jego kaftan i podarta chustka na szyi nie chroniły go od dotkliwego zimna. Człowiek ten biegł raz po raz i tarł ręce, aby się rozgrzać cokolwiek, ale wiedział, że jeżeli nie znajdzie wnet gościnnego dachu, to zmarznie na drodze. Na domiar złego zaczęło się już ściemniać.

— Czemu nie siedzisz w domu? — zdawał się mówić wicher do niego, — czemu pozwalasz mi obejmować się mojem lodowatem tchnieniem?

— Czemu? Przecież ja domu nie mam. Ale otóż i zabudowania Palury! Wstąpię tam na kwadrans i ogrzeję się trochę!

Dom wdowy Palury leżał po lewej stronie drogi, jako pierwszy we wsi. Była to porządna, piętrowa kamienica o łupkowym dachu i otoczona małym, ładnym ogródkiem.

Po upływie dziesięciu minut stanął wędrowiec przed domem, zapukał i wszedł do pokoju mieszkalnego, jasnego i dobrze ogrzanego. Pokój ten nie był obszernym, lecz zacisznym i miłym. Łóżko, zaścielone całą górą pościeli, stół, ławka, dwa krzesła, barwnemi kolorami malowana komoda, kilka sprzętów gospodarskich i trochę statków kuchennych, — otóż to było całem jego umeblowaniem. Ale na wapnem pobielonych ścianach widniało dużo jaskrawych obrazów Świętych jako ozdoby, bez żadnej symetryi i na oknach stały kwiatki w kamiennych doniczkach. Pokoik ten mówił:

— Tu mieszka niezamożna, lecz porządna i czystość lubiąca kobieta.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, matko, — pozdrowił ją wędrowiec. — Psie zimno na dworze! Chciałbym tu wypocząć z godzinę i wygrzać się. Jestem murarz Tomasz Stanek z Mysłowic, matka moja jest Wiktorya Stanek z Bisznicy. Wasza córka jest tam też za jednym z Stanków, nie jesteśmy wprawdzie spokrewnieni, ale moja matka zna waszą córkę. Tam jest dużo Stanków.

To przedstawienie się i znajomość nazwisk i miejscowości wystarczało zupełnie starej, aby wstać natychmiast i wydobyć bunclowy garnek z ciepłą kawą z pieca. Potem przyniosła jeszcze olbrzymią filiżankę porcelanową, ozdobioną jaskrawemi czerwonemi różami i złoconym napisem: „pamiątka na dzień urodzin“, i postawiła ją także na stole. W końcu podała zgłodniałemu jeszcze chleb i masło.

— Jedz jak najwięcej i pij, mój chłopcze, — zachęcała go, a twarz jej promieniała gościnnością i dobrodusznością. Szare oczy aż się uśmiechać zdawały. Ach, bo ubodzy dawają chętnie, jeżeli tylko coś dać mogą! A stara Palurowa była znaną we wsi jako najdobroczynniejsza biedna!

— Czemu ty w takiem powietrzu nie siedzisz w Mysłowicach, Tomek? — zapytała po chwili milczenia. — Czemu nie idziesz do roboty?

— Pracowałem przed tygodniem jeszcze w kopalni w Piosku! Ale ciągiem pracować i pracować — nie, tego mi się nie chce! Bogaci nie pracują nigdy!

— Ba, ba, — rzekła Palurowa niechętnie — nie pleć takiego głupstwa, chłopcze. Jesteś pewnie socyalnym demokratą? Pracować muszą wszyscy, bogaci głową, biedni rękami. Nie zdziałasz nic dobrego, jeżeli tak myślisz.

Tomek roześmiał się i nalał sobie drugą filiżankę kawy.

Podczas tej rozmowy weszła do pokoju Hanka, służąca wdowy i otworzyła szafę, aby wyjąć z niej bieliznę na jutrzejszą niedzielę.

Tomek podniósł głowę i spojrzał w otwartą szafę, a nienasycona chciwość błysnęła z jego oczu, prawdziwych oczu drapieżnego zwierzęcia. Widział, że w szafie znajdowało się tylko trochę bielizny, kilka sukien, fartuchów i przedmiotów, nie mających żadnej wartości. Ale oczy jego strasznego nabierały wyrazu i zdawały się mówić:

— Mógłbyś mieć to wszystko! Bez trudu! Mógłbyś to wszystko sprzedać i pieniądze przepić. Ty to mieć musisz!

Lecz zwalczył tę myśl okropną.

— Gdzie chcesz dziś przenocować? — zapytała Palurowa.

— U tkacza Rzybka.

— O, to daleko jeszcze! Wieś jest długa! No, weź tę połowę chleba z sobą, abyś nie miał głodu w drodze.

Stanek wsunął chleb pod kaftan i oddalił się spiesznie.

Benedykt Rzybek, znający go bardzo tylko powierzchownie z jakiegoś jarmarku, przyjął go bardzo gościnnie i pozwolił mu przenocować na strychu na sianie. W mieście nie byłby Stanek znalazł pewnie tak łatwo równie gościnnego przyjęcia, ale tu na wsi, kwitło zaufanie jeszcze nieomal bujniej, jak kwiaty wiosenne na polach.

Pomimo zmęczenia nie mógł Tomek wnet usnąć. Oczy jego widziały zawsze jeszcze, nawet i tu w ciemnicy, otwartą szafę Palurowej, a w niej bieliznę i ubrania. Nareszcie jednak usnął, ale i we śnie widział szafę....

W nocy wicher ustał i nazajutrz, chociaż mroźna, to jednak cicha i słoneczna była pogoda. O dziewiątej odezwały się dzwony kościelne, zwołujące nabożnych na mszą świętą.

Już od godziny spieszyli wierni do świątyni: kobiety w barwnych, ładnych, krótkich spódnicach, mężczyźni w czarnych sukiennych kaftanach i spodniach, wszyscy poważni i skupieni, wszyscy z Bogiem w sercu i wiarą!

Benedykt Rzybek zabierał się także w drogę i prosił swego gościa, aby mu towarzyszył. Stanek zgodził się chętnie na wszystko.

Milcząc szli obydwaj mężczyźni obok siebie. W Pilszowicach bawiono się dopiero wieczorem w karczmie, gdy piwo i wódka rozgrzały nieco umysły. Wtedy bawiono się głośno i ochoczo.

Teraz każdy był zajęty własnemi myślami. Rzybek myślał o tem, czy nie lepiej sprzedać towar w mieście powiatowem, niż w małej, blizkiej mieścinie? Płacono tu liche ceny. Stanek rozmyślał także — i to nad czem? Również nad zyskiem — lecz nie zyskiem uczciwym! Myślał on tak:

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Testament bankiera.

Z angielskiego tłumaczył M. P.

ROZDZIAŁ I.

Dom Mainwaring.

Przez spuszczone żaluzye wciskały się wszystkiemi szparami palące promienie słońca do prywatnego mieszkania nowojorskiego bankiera pana Mainwaring i Sp.

Było to w miesiącu lipcu, pewnego dnia po obiedzie, a wązkie pasy światła nadawały wspaniałemu urządzeniu pokoi jeszcze więcej blasku.

W jednym z salonów siedziało czterech mężczyzn, z których trzech zdradzało na pierwsze spojrzenie Anglików, czwarty zaś widocznie był Amerykaninem.

Amerykanin ten był mężczyzną w średnim wieku, wysoki, szczupły, o twarzy wzbudzającej zaufanie i przenikliwych ciemnych oczach, wyrażających dużo rozumu i bystrości umysłu. Mówił nie wiele, przysłuchując się natomiast uważnie dosyć ożywionej rozmowie swoich towarzyszy.

Tym, który mówił najwięcej był Hugon Mainwaring, szef firmy Mainwaring i Sp. Siedząc przy biurku z różanego drzewa, na którem wzorowo ułożone papiery i rozmaite drobiazgi wskazywały nietylko zamiłowanie porządku ale nadto dużo pedanteryi właściciela, bawił się nożykiem z kości słoniowej i spoglądał ukradkiem raz po raz na kosztowny zegarek, stojący na kominku.

Był to mężczyzna wysoki, silnie zbudowany, o krótko przystrzyżonych, siwiejących włosach. Twarz miał bladą, gładko wygoloną i ciemne oczy o wyrazie zimnym, odpychającym. Oczy te stawały się czasem zupełnie czarne, mianowicie, gdy bankier unosił się gniewem. Twarz jego była piękną, lecz zrażała innych wyrazem namiętności, dumy i uporu.

Przed nim siedział, a raczej leżał na kanapie Ralf Mainwaring, kuzyn jego z Londynu, i palił wolno i z namysłem prawdziwe hawańskie cygaro. Był to prawdziwy typ wyniosłego, samolubnego bogacza. Chociaż był tylko o dwa lata młodszy od Hugona, wyglądał o wiele młodziej od niego. Skłonny trochę do tycia, miał włosy i brodę zupełnie ciemne, bez śladu siwizny.

Nieco dalej, rozpierał się wygodnie w fotelu William Mainwaring-Thornton, daleki krewny Ralfa i Hugona. Mieszkał on również w Londynie i był uosobistnieniem wesołości, dobroduszności i swobody. Czterdziestoletni jasny blondyn, o prawdziwie angielskich, długich bokobrodach, ufryzowanych z największą starannością, uchodził ogólnie za przystojnego mężczyznę,, i patrzał swemi jasnemi oczami na świat z dziecięcą szczerością i poczciwością.

Rodzina Mainwaringów była w Anglii od dawna zasiedziałą, bogatą i podzieloną na kilka linii, Hugon przedstawiał, jako jedyny spadkobierca zmarłego przed dwudziestu pięciu laty ojca, linią najstarszą, ale wkrótce po objęciu dziedzictwa sprzedał stare, rodzinne dobra znajdujące się od niepamiętnych czasów w posiadaniu Mainwaringów, i nie zważając na protesty krewnych, wyniósł się do Ameryki. Tutaj założył dom bankowy i dzięki swym zdolnościom, powiększył majątek o miliony.

Konserwatywny Ralf, który jako senior drugiej linii, najwięcej się o sprzedaż posiadłości rodzinnych gniewał, prosił jednak, gdy mu się syn urodził, kuzyna Hugona na ojca chrzestnego i dał synowi swemu również imię Hugon. Ralf był bardzo obrachowanym człowiekiem, przeniesienie imienia kuzyna na własną rodzinę mogło go zawsze upoważniać do nadziei, że jeżeli się Hugon nie ożeni, to może zapisać cały majątek albo chociaż połowę swemu chrześniakowi. Gdyby się to życzenie kiedykolwiek spełniło, wtedy zamierzał Ralf odkupić wszystkie dobra, należące niegdyś do Mainwaringów i otoczyć nazwisko to nowym blaskiem!

Teraz, po dwudziestu latach, miało życzenie jego wejść w pierwsze stadyum spełnienia się, kuzyn Hugon nie był żonatym i przy zbliżającej się uroczystości pięćdziesięcioletnich swych urodzin i przypadającej na ten sam czas pełnoletności syna Ralfa, zamierzał pogodzić się z swymi krewnymi. Zaprosił więc wszystkich do siebie, donosząc im zarazem, że zamyśla swego bratanka Hugona ustanowić swoim spadkobiercą.

I ten właśnie zamiar był teraz przedmiotem ich rozmowy.

Hugon Mainwaring przedstawił swoim krewnym całą sprawę jasno i dobitnie i dodał z westchnieniem ulgi:

— Jestem szczerze zadowolony, że wszystko już załatwione. Sprawa ta leżała mi kamieniem na sercu, i często już naradzałem się z panem Vhitray nad tem, jak najlepiej ją urządzić.

Po tych słowach skinął lekko głową w kierunku czwartego mężczyzny, swego adwokata i doradcy prawnego, i mówił dalej:

— Byliśmy obydwaj przekonani o konieczności spisania mego testamentu, i byłbym to już dawniej uczynił, ale chciałem odczekać dnia moich urodzin i dnia pełnoletności Hugona. Uważałem to za stosowne. Teraz jest, podług mego zdania, wszystko w porządku i jutro wystawimy dokument i każemy go sądownie potwierdzić.

— Nie masz żadnego przesądu — to jest — strachu przed spisaniem testamentu? — zauważył Thornton.

— Nie, — odrzekł bankier spokojnie. — Nie obawiam się wcale, aby to miało przyspieszyć moją śmierć, ale gdybym miał oczywiście umrzeć wnet, to byłbym bardzo zadowolony z tego, że rozporządziłem moim majątkiem i że tylko ci mają korzyść z mej śmierci, których do tego upoważniłem.

Ralf zmrużył oczy i spojrzał badawczo na kuzyna.

— Ja myślę, — rzekł z pozorną obojętnością, że i bez testamentu dostałaby się cała spuścizna po tobie mojej rodzinie. Jesteśmy przecież twoimi najbliższymi krewnymi.

— Tak, twojej rodzinie należałoby się wszystko prawnie — odpowiedział Hugon, zamieniając z adwokatem znaczące spojrzenie — zapominasz jednak o tem, że jestem naturalizowanym Amerykaninem, i że tu każdy awanturnik może sobie na podstawie urojonych praw rościć pretensyą do spadku. Dla tego jestem bardzo zadowolony, że wszystko jest ułożone podług mego życzenia.

— Rozumie się — potwierdził Ralf — a ja z mej strony gotów jestem odstąpić wszelkich praw memu synowi. Myślę, że ty, Thornton, nie będziesz miał nic przeciwko temu, ze względu na Edytę.

— I, ani mi się śni, — roześmiał się wesoło Thornton. — Nie uważałem nigdy twego Hugona za lichego zięcia, a teraz stanie mi się jeszcze o wiele milszym.

Zegarek na kominku wydzwonił czwartą. Panowie zdumieli.

— Nie byłbym przypuszczał, że to już tak późno — zawołał Thornton.

Hugon nacisnął dzwonek elektryczny.

— Tak — rzekł z uśmiechem, — sprawa ta zajęła nas dłużej, niż myślałem . Wydam tylko jeszcze przewodniczącemu biura kilka dyspozycyi, a potem zaraz pojedziemy do domu.

Zaledwie słowa te wymówił, otworzyły się drzwi prawie bez szelestu i jakiś mężczyzna w średnim wieku ukazał się na progu.

— Parsons, — zaczął teraz bankier krótkim, trochę rozkazującym tonem — jadę teraz do Chenes i nie będę w banku dwa albo trzy dni, to jest jeżeli nie zajdzie nic nadzwyczajnego. Odeślij każdego, ktoby się chciał ze mną widzieć do pana Elliota albo Noora. Dla gości prywatnych jestem w Chenes.

Parsons ukłonił się sztywno. Mainwaring wydał mu jeszcze kilka dyspozycyi, poczem skinął na znak pożegnania, a po wyjściu jego nacisnął inny guzik elektryczny i zwrócił się do Vhitreya:

— Pan jedziesz naturalnie z nami do Chenes, mój sekretarz będzie nam również towarzyszył. Spiszemy jutro testament i potem musisz pan zostać na uroczystości moich urodzin. Proszę bardzo o to!

— Zostanę z największą przyjemnością — odrzekł adwokat. — Ale nie byłoby lepiej, — dodał tak cicho, aby go wchodzący właśnie sekretarz bankiera nie mógł dosłyszeć — ułożyć testament tutaj, w biurze pana? Obecność moja w domu pana mogłaby u niektórych osób wzbudzić podejrzenie i zwrócić uwagę.....

— Ach, cóż by miało szkodzić — przerwał bankier rozdrażniony, lecz równie cicho. — Wszystkie moje papiery prywatne mam w domu i wolę tam wszystko ukończyć. Myślę przecież, że jestem panem w moim domu.

Pan Vhitrey milczał, Mainwaring zaś zwrócił się teraz do swego sekretarza.

— Panie Skott, — rzekł uprzejmie — pozamykaj tu wszystko i przygotuj się do towarzyszenia nam do Chenes. Zostaniemy tam dwa albo trzy dni.

Nie pierwszy raz jechał sekretarz Skott z bankierem do wspaniałego pałacu Chenes, leżącego za miastem.

Młody ten człowiek słyszał doskonale każde słowo krótkiej rozmowy bankiera i adwokata, pomimo, że szeptali tak cicho, i wiedział, dla czego ma jechać do Chenes. Uczynił więc tak, jak mu kazano i po zamknięciu ostatniej szuflady wyszedł z pokoju, aby przygotować wszystko do wyjazdu. Dla dziwnego powodu, którego Hugon Mainwaring nigdy nie starał sobie wytłomaczyć, okazywał on swemu sekretarzowi o wiele więcej szacunku i uprzejmości, niż któremukolwiek bądź innemu urzędnikowi. A miał ich bardzo wiele.

Henryk Skott był młodym, przystojnym człowiekiem o dobrem wychowaniu i świetnych manierach towarzyskich. Bankier cenił też niezmiernie jego spokój i umiejętność postępowania względem reszty urzędników. Wrodzony takt nie pozwalał mu nigdy zapominać o jego stanowisku i nie pozwalał na żadną niestosowną poufałość; był on uprzejmym dla każdego, dla bankiera usłużnym i pełnym szacunku, lecz nigdy zbyt uniżonym i natrętnym.

Stanowisko u pana Mainwaringa zajmował już od roku, znał więc doskonale bank cały i pałac Chenes wraz z całem otoczeniem.

Gdy zamienił teraz swoje codzienne ubranie na wytworny czarny surdut i wrócił do salonu, uważał sobie każdy z gości bankiera za obowiązek okazywania mu większej uprzejmości i traktowania go jak sobie równego. Henryk Skott wyglądał rzeczywiście jak wielki pan i był stanowczo najpiękniejszym i najwytworniejszym z tych, którzy w karecie ozdobionej herbami Mainwaringów jechali do zamku Chenes.

ROZDZIAŁ II.

Pałac Chenes.

Mieszkanie prywatne Hugona Mainfaringa, pałac Chenes leżał w bliskości przepysznej alei bukowej, wiodącej do północnej części miasta. Wszystkie domy tu były pałacami lub willami w włoskim stylu, najpiękniejszym jednak był pałac Chenes. Wyróżniał on się od innych tak samo wielkością jak i wspaniałością budowania. Z biegiem lat przybrał nawet pewną cechę osobistą swego właściciela i to głównie nadawało mu inny zupełnie charakter. Pałac ten należał pierwotnie do jednej z najstarszych i najmajętniejszych rodzin, nie był więc ściśle modnym, lecz modny, lekki pałacyk nie byłby też wcale odpowiadał smakowi dumnego Mainwaringa! Dom, którego komnaty nie miały śladów wielkiej przeszłości i w którego atmosferze nie panowała jeszcze słaba woń potęgi i świetności, byłby się bankierowi zbyt pospolitym wydawał.

Od ulicy aż do głównej bramy wiodła szeroka droga pod złączonemi gałęziami olbrzymich dębów, od których pałac miał swoją nazwę. Rozległy ogród i park otaczał pałac z wszystkich stron i dochodził od strony dziedzińca aż do brzegów małego jeziora. Główna brama leżała na stronie zachodniej. W około całego pałacu nieomal znajdowała się szeroka weranda, z której zachwycający roztaczał się widok na najbliższe otoczenie i niezbyt odległą rzekę Hudson. W południowej części pałacu leżały prywatne pokoje bankiera, do których należała też tak zwana wieża, którą wnet po kupieniu tej posiadłości kazał przybudować. Pokoje te znacznie były oddalone od salonów drugiego piętra, na którego południowo-zachodnim końcu znajdowała się biblioteka, ogromny ośmiokątny pokój, urządzony z niesłychanym przepychem. Całe ściany zastawione tu były od góry do dołu półkami pełnemi najkosztowniejszych książek, na środku stały stoły i fotele, a w środkowej ścianie, zakryte ciężką aksamitną portyerą, były drzwi, wiodące do pokoju w wieży, czyli, jak go pan Mainwaring nazwał, „sanctum sanctuorum". Był to salonik niewielki, okrągły, którego całe urządzenie składało się z ogromnego biurka, dwóch półek z książkami i szafy żelaznej, zawierającej wszystkie ważne papiery oraz stare rodzinne klejnoty Mainwaringów. Z drugiej strony biblioteki była sypialnia i pokój dla palących.

Z tych dwóch pokoi wiodły drzwi do tak zwanej wyższej galeryi, którą można było dojść do bocznej czyli południowej bramy.

Główne wejście znajdowało się jednak od środka galeryi na dole i ztąd wchodziło się też zaraz na schody drugiego piętra, wprost do kurytarza, na który wychodziły drzwi do biblioteki.

Od bramy południowej wiodła pomiędzy krzewami i kwiatami wązka ścieżka zwirowa do małego lasku, położonego nad brzegami jeziora, od strony zaś północnej i wschodniej leżał ogród graniczący z małym wprawdzie, lecz starannie utrzymywanym parkiem, pełnym starych, wspaniałych drzew.

Główną cechą odmienności pałacu Chenes była pewna wytworność i ślady dawnej świetności. Służba cała składała się z cudzoziemców, z wyjątkiem jednego Murzyna, „wuja Mojżesza," który wyłącznie zajmował się ogrodem i parkiem. Pierwszy kucharz był Francuzem, lokaje częścią Anglicy, częścią Irlandczycy — ztąd też może wynikało to, że począwszy od kamerdynera, a skończywszy na pomywaczce w kuchni, każdy miał się za coś lepszego od innych i nie zawierał z nikim żadnej poufałej przyjaźni.

Hugon Mainwaring zadawalniał się zresztą małą stosunkowo liczbą służby.

I nie potrzebował rzeczywiście więcej, bo aż do dziś nie było w pałacu nigdy gości na dłuższy czas. Zdarzało się czasem, że bankier przywoził z sobą z miasta znajomych panów, których podejmował z książęcą gościnnością, ale panie towarzyszyły im bardzo rzadko, bo nie były mile widzianymi gośćmi w pałacu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Roztargniony następujący list napisał do swojego przyjaciela: — „Mój kochany zapomniałem u ciebie moją złotą tabakierkę, bądź tak łaskaw, odeślij mi ją więc przez oddawcę niniejszego pisma." W chwili zapieczętowania, znalazł u siebie tabakierkę, dopisał więc: Post scriptum. „Już ją znalazłem, nie szukaj więc niepotrzebnie." Zapieczętował list i odesłał.

— Jakiś pan mając pilny interes kazał służącemu ażeby go punkt o godzinie czwartej nad ranem obudził, a dla pewności dał mu swój zegarek. Ledwo zasnął, budzi go służący i rzecze: „Panie, Panie! niech no pan zobaczy czy jest już czwarta godzina? czy ja mam pana zbudzić czy nie?

PRACA

Tygodnik illustrowany

Z bieżącej chwili.

Nowa walka kulturna.

III.

Ks. radca Piotrowicz

z Gniezna, proboszcz parafii św. Trójcy, stał się pierwszą ofiarą w nowym „kulturkampfie'', gdyż sąd gnieźnieński tego zacnego kapłana i dzielnego patryotę pierwszego skazał w dn. 26-ym stycznia r. b. na *dotkliwą dwumiesięczną karę więzienną* za rzekome nadużycie ambony (§ 130 a) i podburzanie do nieposłuszeństwa wobec zarządzeń państwowych (§ 110).

Ks. prob. Piotrowicz miał zgrzeszyć przeciw paragrafowi o ambonie, omawiając na kazaniu podczas mszy św. na intencyą dzieci odbytej 16-go października z. r., w dzień rozpoczęcia szkoły, sprawy państwowe a nieposłuszeństwa wobec zarządzeń państwowych miał się oskarżony dopuścić przez rozdzielanie dzieciom oraz ich rodzicom karteczek do nauczycieli oraz ministra oświaty z oznajmieniem, że rodzice zakazują dzieciom swoim odpowiadać w nauce religii w niemieckim języku.

Ks. prob. Piotrowicz oświadczył na wstępie sądowi, że *żadnych zeznań nie poczyni, ponieważ w sprawach duszpasterstwa zeznania czynić mu wolno tylko przed władzą biskupią.*

Po ukończeniu postępowania dowodowego zabrał ks prob. Piotrowicz głos. Nie starał się on wykazać swej niewinności, lecz piętnował postępowanie rzadu. Ludności polskiej dzieja się największe krzywdy. Powodów strejku szkólnego nie należy szukać w agitacyi duchowieństwa, lecz w postępowaniu władz, które wywołały stosunki poprostu nieznośne. Wykonywanie obowiązków duszpasterskich stało się w obecnych warunkach wprost niemożliwem. Jeżeli np. nie wolno omawiać czwartego przykazania, *wtedy niech lepiej rząd każe kościoły pozamykać.*

Jako obrońcy stanęli pp. mecenasi Karpiński i Szczaniecki z Gniezna, a świadków powołano ogółem 42, w tem blizko połowę dzieci szkolnych od 8 do 14 lat, 6 nauczycieli i 3 policyantów.



Ks radca Jan Piotrowicz.
(Klisza wykonana podług fotografii z zakł. fot. P. Gdeczyk w Gnieźnie).

Zaledwie upłynęło kilka tygodni od pierwszego procesu a znowu ks. proboszcz Piotrowicz zasiadł dnia 28-go z. m. na ławie podsądnych w Gnieźnie razem z redaktorem „Lecha,'' p. St. Szymańskim. Oskarżenie wytoczono na mocy paragrafów karnych o podburzanie przeciw zarządzeniom państwowym, o podburzanie jednej części ludności przeciw drugiej, jednem słowem o zbrodnie takie, które wystawiały na szwank potęgę pruską.

A któż — pisze „Lech'' — z którego zamieszczamy niniejsze sprawozdanie — dopuścił się tych zbrodni? Oto nasz czcigodny i szanowany ogólnie *ks. radca Piotrowicz,* proboszcz parafii św. Trójcy, i *redaktor pisma naszego, p. Stanisław Szymański,* który obecnie już od trzech miesięcy siedzi za murami więziennemi.

Co do ks. proboszcza Piotrowicza to dopatrzyła się prokuratorya podburzania przeciw zarządzeniom państwowym (§ 110) w dwóch mowach, wygłoszonych na wiecu w Gnieźnie w dniu 28-go października i na wiecu matek i kobiet polskich dnia 16-go grudnia r. z. Mów tych nie mógł ks. radca Piotrowicz dokończyć z powodu rozwiązania obu wieców przez policyę. Mowę, którą ks. prob. Piotrowicz wypowiedzieć miał na pierwszym wiecu, wydrukowano następnie w „Lechu'' dla tego oskarżono o nią także odpowiedzialnego redaktora „Lecha''.

Następnie dopatrzyła się prokuratorya publicznej obrazy nauczycieli *Mankowskiego* z Gniezna, *Baera* z Węgorzewa, *Kaczmarowskiego* z Żydowa i *Herrmanna,* (którego nawet p. przew. zna jeszcze jako *Hermańskiego*) z Modliszewka w korespondencyi „Lecha:'' z Gniezna, Węgorzewa, Żydowa i Modliszewka (w nr. 238, 251, 249) oraz podburzania jednej części ludności przeciw drugiej (§ 130) w artykule nr. 223, zatytułowanym „Pruskie fajności,'' powtórzonym za „Postępem.''

Wszystkie te sprawy rozpatrywano w jednym ciągu, tak że ks. radca Piotrowicz, oskarżony tylko w dwóch, musiał siedzieć przez cały przebieg procesu na ławie zbrodniarzy.

Na zapytanie przewodniczącego, jakim sposobem dostała się mowa ks. Piotrowicza do „Lecha,'' odmawia tenże wszelkich zeznań, oświadcza tylko, że mowa drukowana nie zgadza się z tem, co powiedział na wiecu, oraz wy-

kazuje dwie niedokładności w tłumaczeniu. Tak samo redaktor Szymański odmawia zeznania na powyższe zapytanie.

Świadek sekretarz policyjny *Witusch* z Poznania oświadcza, że dozorował wiec z ramienia prezydyum policyjnego w Poznaniu na wniosek policyi gnieźnieńskiej. Podczas mowy ks. Piotrowicza robił sobie zapiski po niemiecku (nie stenografował jej) i z tych zapisków sporządził w następnym dniu swe sprawozdanie dla prezydyum policyjnego. Zaraz następnego dnia czytał „Lecha“ i podpadło mu, że mowa drukowana była zupełnie inną, niż wygłoszona na wiecu. Obrońca p. mec. Sczaniecki oświadcza, że mowę tę mogła trzecia jakaś osoba wręczyć redakcyi, a ks. Piotrowicz byłby wtedy zupełnie niewinny. Następnie odczytuje sąd drukowane sprawozdanie policyjne z pierwszego wiecu.

Co do swej drugiej mowy, wygłoszonej w grudniu na wiecu kobiet i matek polskich, oświadcza oskarżony, ks. radca Piotrowicz, że nie było w niej żadnego podburzenia. Nie poruszył w tej mowie wcale strejku szkolnego, pouczał jedynie zebrane matki i kobiety Polki o stosunkach prawnych, panujących na polu szkolnictwa, a szczególnie nauki religii. Zamiarem jego było mówić o germanizacyi przez kościół i jak temu zapobiedz.

Świadek *Boehme*, komisarz policyjny z Poznania, który ten wiec dozorował, robił sobie także tylko luźne notatki z mowy ks. Piotrowicza i to w języku niemieckim. Jego sprawozdanie dla policyi podaje tylko treść mowy. Następuje odczytanie tego sprawozdania. Następnie oświadcza świadek, że po rozwiązaniu wieca panowało wśród wiecowniczek ogromne wzburzenie. Wygrażano na niego pięściami, a jedna kobieta miała wołać: *„Nie pozwolę na to, aby dzieci moje odpowiadały po niemiecku na nauce religii, choćbym miała umrzeć.“* Na zapytanie ks. Piotrowicza oświadcza świadek, że podczas mowy nie zauważył żadnego wzburzenia, dopiero po rozwiązaniu nastąpiło widoczne wzburzenie i rozgoryczenie.

Natomiast następny świadek, komisarz policyjny *Macpolowski* z Gniezna zeznał pod przysięgą, że zauważył wzburzenie już podczas mowy ks. proboszcza P., niektóre kobiety miały nawet robić niebezpieczne ruchy rękami.

Osk. ks. *Piotrowicz:* Czy nie miano zamiaru rozwiązać zebrania, ponieważ lampy nie były zapalone?

Świadek: Nie.

Obr. mec. *Sczaniecki:* Jakim sposobem mógł świadek zobaczyć podejrzane ruchy rąk u kobiet, gdy na sali było ciemno? (Śmiech wśród publiczności). Na to odpowiada świadek, że słyszał krzyki, czego świadek Boehme nie zauważył.

Rzeczoznawca radca szkolny *Folz* zeznaje, że modlitwa należy do porządku szkolnego, tak samo „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus,“ nie wchodzi więc w zakres nauki religii i dlatego odmawia się i w najniższych oddziałach po niemiecku. Na oświadczenie rzeczoznawcy, że w szkołach w Żdziechowie, Pustachowie, Braciszewie i Oborze została niemiecka nauka religii zaprowadzona z rozporządzenia rejencyi, zapytuje ks. radca Piotrowicz: Czy prawdą jest, że on (rzeczoznawca) powiedział do nauczyciela Wojczyńskiego w Pustachowie: „Pan nie wprowadził jeszcze w swej szkole niemieckiej nauki religii!? Przecież pan wie, jak trzeba postępować.“

Rzeczoznawca: Chodziło o przygotowawczą naukę do niemieckiej religii. Nauczyciel mieszkał pod samem Gnieznem i spotykał się w mieście z innymi nauczycielami, którzy zapewne go poinformowali.

Ks. *Piotrowicz:* Nie odebrał więc nauczyciel Wojczyński żadnego rozkazu rejencyi?

Rzeczoznawca: Nauczyciel Wojczyński, który obecnie nie jest w służbie, informował się u innych osób, a nie u mnie.

Ks. *Piotrowicz:* Oświadczam panu, że u mnie nauczyciel Wojczyński był przez cały czas swego urzędowania w Pustachowie tylko dwa razy.

Przewodniczący: Czy nauczyciel W. powinien był czekać na instrukcye?

Rzeczoznawca: Myślałem, że odebrał je od innych nauczycieli.

Na tem skończyły się przesłuchy w sprawie ks. radcy Piotrowicza, a sąd przechodzi do „publicznej obrazy“, jakiej się miał dopuścić redaktor „Lecha“ p. St. Szymański.

Świadek nauczyciel *Mankowski*, którego obraziła wiadomość w „Lechu,“ że bije dzieci, oświadcza pod przysięgą, że dzieci podczas nauki religii nie karał. Jednego tylko chłopca ukarał przed lekcyą religii, ponieważ był niegrzecznym. Do wniesienia skargi nakłonił go rektor tutejszej szkoły.

Świadek nauczyciel *Baehr* z Węgorzewa, czuł się obrażony korespondencyą w „Lechu,“ że spalił polskie katechizmy, twierdzi, że to nieprawda.

Tak samo czuł się obrażonym świadek nauczyciel *Kaczmarowski* z Żydowa tem, co w „Lechu“ o nim napisano. Świadek twierdzi, że to było nieprawdą.

Rzeczoznawca inspektor szkolny *Bismark* z Witkowa zeznaje, że naukę w Żydowie z powodu strejku szkolnego zamieniono z powrotem za karę na całodzienną. Prócz tego musiały strejkujące dzieci odsiadywać 4 godziny aresztu tygodniowo.

Świadek *Hermann*, który się nazywał przed niezbyt dawnym czasem „Hermański“, tak iż nawet przewodniczący użył tego pierwotnego nazwiska w toku przesłuchów, co boleśnie pana nauczyciela ubodło — zaprzecza również, *jakoby bił dzieci nad miarę.* Jednemu chłopcu, który nie chciał odpowiadać w rachunkach po niemiecku, „sprawił kurtę“ (hab ich par gelangt). „Że dzieci za bezczelność i opozycyę trzeba karać, rozumie się samo przez się“. Za karę nie pozwalał on dzieciom wychodzić podczas pauzy, aby nie podburzały drugich dzieci.

Przewodniczący: Nie wiem, czy to jest dozwolone? (W Modliszewku strejkuje dotąd 21 dzieci z ogólnej liczby 60).

W końcu czyta sąd artykuł „Lecha“ o pruskich fajnościach, w którym dopatrzył się prokurator podburzania, przestępstwo przeciw § 130.

Prokurator wnosi dla ks. prob. Piotrowicza za każdą mowę o 5 tygodni razem o *2 miesiące więzienia.* Dla redaktora „Lecha“ wnosi prokurator za publiczną obrazę w 3 przypadkach i przekroczenie § 110 w 6 przypadkach o 2 tygodnie więzienia za każdy, za przekroczenie § 130 o 6 tygodni więzienia razem o *4 miesiące więzienia.*

Zabierają głos teraz obrońcy pp.: mecenas *Sczaniecki i mec. dr. Tomaszkiewicz,* oraz oskarżeni ks. radca *Piotrowicz* i redaktor „Lecha“ pan *Szymański,* przytaczając wszystko, co dotychczas w takich sprawach obrona przytaczała.

Po blisko jednogodzinnej naradzie ogłosił p. przewodniczący wyrok, skazujący *ks. Piotrowicza* za mowy wiecowe na 4, względnie 3 tygodnie, razem *na 6 tygodni więzienia, a redaktora „Lecha“ za wszystkie wypadki razem na 6 tygodni więzienia.* Nauczycielom przysługuje prawo opublikowania wyroku w „Lechu.“

* * *

Ks. dr. Tadeusz Trzciński,

profesor seminaryum duchownego w Gnieźnie, stawał dnia 25-go z m. przed sądem gnieźnieńskim. Oskarżony był na mocy § 110 o mowę wygłoszoną na wiecu w dniu 21 stycznia r. b., która brzmiała mniej więcej jak następuje:

„Podczas studyów moich podziwiałem wielkość i potęgę rozmaitych idei, ale i dziś wielkiej idei potęgę podziwiać muszę, gdy patrzę na naszą dzia-

twę biedną, która za religią takie cierpienia znosi. Gdy idę ulicą, a widzę tę dziatwę, to mimowoli uchylam kapelusza, aby oddać cześć tym małym męczennikom. Gdybym mógł, to stanąłbym z niemi w szkole, aby dzielić ich cierpienia, ale ponieważ tego uczynić nie mogę, więc z tego miejsca cześć i



Ks. Dr. Tadeusz Trzciński.
(Klisza wykonana podług fotografii z czasów uniwersyteckich).

szacunek im oddaję. *Gdyby mi chodziło o jakieś fawory lub względy możnych tego świata, to cisnąłbym je pod nogi dla tak świętej sprawy, bo te fawory tylko plamią*".

W końcu ks. prof. Trzciński zaznaczył, że stanął na wiecu, aby zadokumentować swą solidarność z tak bardzo uciskaną a walczącą o swe prawa ludnością polską.

Powołani na świadków sekretarz policyjny z Poznania i komisarz Macpolowski z Gniezna zeznali, że dokładnie mowy ks. prof. Trzcińskiego nie pamiętają. Odnieśli jednak wrażenie, że ks. prof. Trzciński do strejku nawoływał.

Prokurator po krótkiem przemówieniu wniósł o 300 mk. kary lub 60 dni więzienia.

Oskarżony w obszernem przemówieniu wyczerpująco uzasadnił stanowisko swoje, które jest stanowiskiem księdza katol. Wypowiedział tylko swoje zdanie o sprawie niemieckiej nauki religii, spełnił swój obowiązek jako kapłan, a jedno i drugie karygodnem być nie może. Zaznaczył dalej, że omawiał opór bierny dzieci, a tylko opór ze stanowiska katolickiego jest dozwolony przeciw prawom, które sprzeciwiają się temu, co każdy katolik za święte uważać musi. Chodzi tu o przeciwieństwo pomiędzy prawami, które źródło swe w potędze państwa mają, a prawami boskiemi i przyrodzonemi. Ksiądz katolicki nie miał w tym wypadku żadnego wyboru, bo nie można od niego wymagać, aby bronił siły.

Jeżeli nie wolno mieć własnego zdania i każde objawienie go jest karygodnem, to jestem winnym — zakończył ks. prof. Trzciński.

Sąd po dłuższej naradzie orzekł, że wywody oskarżonego kapłana nie zdołały przekonań jego obalić i zawyrokował *150 marek kary lub 15 dni więzienia.*

* *
*

Ks. Proboszcz Niedbał

z Dubina stawał dnia 22-go z. m. przed sądem leszczyńskim. Oskarżony był o przewinienie przeciw paragrafowi o ambonie (§ 130a) i o rzekome podburzanie do nieposłuszeństwa wobec zarządzeń władz (§ 110).

Przestępstwa dopatrzono się w kazaniach ks. prob. Niedbała, jako też w rozdawaniu karteczek, w których ojcowie rodzin prosili nauczyciela, by dzieciom ich udzielano religii po polsku.

„*Wzięli nam język ojczysty* — miał ks. Niedbał mówić — musimy się więc przeciwko temu bronić, bo mamy wielką odpowiedzialność przed Bogiem. My wiemy, kto nam zabrał język ojczysty, ale nie wolno nam tego powiedzieć. Niech ich Bóg skarze; to są nasi nieprzyjaciele. Módlmy się za nich."

Na innych kazaniach miał ks. Niedbał podobnie się wyrażać, porównując dzieci polskie do męczenników chrześciańskich, walczących krwawo o wiarę św.



Ks. Szambelan Józef Kłos.

Oskarżony odczytując znany okólnik zmarłego ks. Arcypasterza, dołączył do niego również swoje uwagi. Oprócz tego miał ks. Niedbał chodzić po domach i zakazywać niemieckiego pozdrowienia i modlenia się po niemiecku.

Jako świadek w sprawie kazań zeznawała żona nauczyciela Molickiego z Dubina, lecz sąd zeznań jej nie przyjął, jako nie wystarczających wobec zeznań innych świadków.

Świadek inspektor szkolny Brüsser z Jutrosina zajął w rozprawach stanowisko prokuratora, twierdząc, że według jego zdania, rejencya dosyć się stara o zbawienie duszy (es wird ge-



Ks. proboszcz Niedbał.

nügend gesorgt für das Seelenheil der Kinder.) Obrońcy pp. mecenas Woliński z Poznania i Ruszczyński z Leszna przeciwko temu energicznie wystąpili. Mecenas Woliński odpowiedział p. inspektorowi: *Nad zbawieniem duszy decydować nie będzie ani żaden inspektor szkolny ani rejencya, tylko Pan Bóg i za zbawienie duszy przed Bogiem odpowiadać będą jedynie duszpasterze, a nie inspektorzy szkolni, radcy lub prezesi rejencyjni.*

Przeciwko oświadczeniu p. Brüssera wystąpił także ostro przewodniczący sądu p. dyrektor Schlütter.

W procesie tym zostało udowodnione, że nauczyciele na własną rękę — bez rozporządzenia rejencyi — na najniższym oddziale zaprowadzili odmawianie pacierza po niemiecku.

Prokurator wniósł o miesiąc fortecy i miesiąc więzienia zwyczajnego.

Mimo dzielnej obrony naszych obrońców skazał sąd ks. proboszcza Niedbała za przewinienie przeciw par. 130a na *1 miesiąc fortecy*, a za przewinienie przeciw § 110 za rozdawanie wspomnianych karteczek na *200 marek kary.*

* *
*

Ks. prałat szambelan Kłos,

z Poznania od Dominikanów stawał znowu dnia 27-go z. m. przed poznańską Izbą karną, oskarżony jako redaktor „Przewodnika katolickiego" w dwóch procesach, wytoczonych o podburzanie do nieposłuszeństwa wobec zarządzeń władz (§ 110). Przed przeczytaniem pierwszego artykułu w nr.

49 „Przew. Kat.“ z dnia 6 grudnia z. r. wniósł obrońca p. mec. Woliński o skonstatowanie sądowe, że rzeczony artykuł jest czwartym rozdziałem seryi już poprzednio ogłoszonych części. O jednę z nich toczył się już proces, w którym ks. prałat został zasądzony na znaczną karę pieniężną. Chodzi więc o jednę i tę samą czynność, wychodzącą z jednolitego postanowienia. Sąd postanowił sprawę odroczyć, aby całą seryę owych artykułów zbadać.

Drugi proces zajmował się artykułem z nr. 48-go „Przewodnika Katolickiego“, traktującym o encyklice Ojca św. Leona XIII. z przed piętnastu laty, pouczającej wiernych o ważności i istocie obowiązków rodzicielskich i o posłuszeństwie dzieci dla rodziców jako cnocie.

Nawięzując do treści encykliki mówi autor, że rodzice mają prawo i obowiązek wymagać nauki religii w języku ojczystym.

Sprzeciwia się najprostszym zasadom praw natury, jeżeli się dzieci wbrew woli rodziców zmusza do uczenia się prawd wiary św. w niezrozumiałym im języku.

Ks. Kłos twierdzi, że artykuł ten odźwierciedla poglądy filozoficzne Leona XIII. a obowiązki rodziców i dzieci i przypomina czwarte przykazanie Boskie, że dzieci przedewszystkiem rodzicom winny być posłusznemi. Spełnianie woli rodzicielskiej nawet w danym razie wobec przeciwnych nakazów władzy innej jest największa cnota.

Treść artykułu nie jest niczem innem, jak zasadą powszechnej etyki kościoła katolickiego.

Prokurator *wniósł o miesiąc więzienia.*

Ks. szambelan Kłos oświadczył, że wniosku o tak znaczną, a do tego karę pozbawienia wolności się nie spodziewał.

Mówi i pisze się wiecznie, że walki kulturnej niema i że nikt nie myśli takowej wywoływać, jeżeli atoli tak bezmierne kary nakłada się za czynność wynikającą — jak sam rozum dyktuje — z powołania duchownego, to nasuwa się zupełnie konsekwentnie myśl, że władze oskarżające mają zamiar takiem postępowaniem właśnie doprowadzić do walki kulturnej i to w najwyższym stopniu.

Po półgodzinnej naradzie oznajmia prezydent sądu wyrok skazujący ks. prałata Kłosa na *karę pieniężną marek 450, względnie za każde 15 mr. jeden dzień więzienia.*

* *

Ks. proboszcza Laubitza*)

z Inowrocławia skazała tamtejsza Izba karna dnia 1-go b. m. na mocy § 110, za rzekome podburzanie do gwałtów i nieposłuszeństwo wobec władzy szkolnej na 300 marek kary.

Przekroczenia powyższego dopatrzyła się prokuratorya w mowie ks. prałata wypowiedzianej na wiecu szkolnym w Inowrocławiu w dniu 30 września r. z.

Na wywody prokuratora, który dla ks. prałata wniósł *1 miesiąc więzienia*, odpowiedział ks. Laubitz świetną przemową, wyjaśniającą dosadnio stanowisko kapłana Polaka wobec rozporządzeń szkolnych, odnoszących się do wykładu religii w szkołach elementarnych W. Ks. Poznańskiego.

Przemowa ks. prałata głębokie wywarła wrażenie na trybunale sądowym i przysłuchującej się licznie zgromadzonej publiczności.

Obroną kierował mecenas dr. Swinarski z Inowrocławia.



Z bieżącej chwili.

Członkowie Koła polskiego w parlamencie niemieckim**).

III

W Prusach Zachodnich.

Poseł Julian Sas-Jaworski.

z Berlina ur. się 21. 5. 1862 w rodzinnym majątku w Lipinkach w powiecie świeckim, w Prusach Zachodnich, który to majątek w roku 1906-go sprzedał w pewne ręce polskie z powodu choroby. Posłował już od roku 1897—98 z okręgu świeckiego pobiwszy przeciwnika około 1000 głosami większości (7 972, przeciwnik 6 956). Poseł Sas-Jaworski należy do komitetu Prowincyonalnego na Prusy Królewskie i jako taki przyczynił się także do stworzenia naczelnego Polskiego Centralnego Komitetu, którego się od lat 30-tu domagali tacy politycy jak ś. p. dr. Niegolewski, ś. p. L. Rzepecki, L. Czarliński i inni. W osobie p. Sas-Jaworskiego zyskało Koło polskie parlamentarne członka pożytecznego bo gorąco czującego Polaka i znawcę w sprawach agronomiczno - społecznych.

* * *

Poseł Roman Janta Półczyński

urodził się dnia 23. 3. 1849-go roku w Wielkiem Komorzu w Prusach Zachodnich, uczęszczał do gimnazyum realnego w Poznaniu od 1859—1868, następnie oddał się studyom muzycznym. Od roku 1873 zarządza swemi majątkami i mieszka w Żabiczynie w powiecie wągrowieckim w W. Ks. Poznańskiem.

Od roku 1890-go wybiera go okręg pucko - wejherowsko - kartuski. Dotąd poprzestaje głównie na pracy wewnątrz Koła i pełni od czasu swego pierwszego wyboru w temże obowiązki sekretarza.

* * *

Poseł Wiktor Kulerski

urodził się jako syn nauczyciela ludowego w Grucie pod Grudziądzem w Prusach Zachodnich dnia 20-go marca 1864-go roku; pierwotnie sam poświęcił się zawodowi nauczycielskiemu. Zostawszy nauczycielem w Copotach, nabył tamże pensyonat „Dom Polski“ i dzięki powodzeniu materyalnemu założył w roku 1895-ym „Gazetę Grudziądzką“, która obecnie liczy 70 000 abonentów. Był więziony za przestępstwa prasowe.

Posłuje ponownie z okręgu tucholsko-chojnickiego i jest w obecnej kadencyi parlamentarnej w Kole polskiem członkiem komisyi porządku obrad.

* * *

Poseł Jan Brejski

urodził się dnia 20. 2. 1863-go roku w Pończowie pod Gniewem w Prusach Zachodnich, uczęszczał do kilku gimnazyi, potem słuchał w Krakowie historyi i ludoznawstwa. W 1893-im roku objął naczelną redakcyą „Wiarusa Polskiego“ w Bochum w Westfalii, obecnie redaguje i wydaje od 1894-go roku „Gazetę Toruńską“; przesiedział kilka miesięcy w więzieniu za przestępstwa prasowe.

---

*) Podobizny nie mogliśmy zamieścić, gdyż ks. L. nie nadesłał nam fotografii. Przyp. Red.

) **Ponieważ z powodu skonfiskowania prawie całego nakładu ostatniego numeru „Pracy“ (nr. 9) w ubiegłą sobotę w południe, zdołaliśmy skutkiem niedzieli przez pół dnia wydrukować i rozesłać Czytelnikom w drugim nakładzie tylko „Dział polityczny“, zatem zmuszeni jesteśmy z nr. 9-go skonfiskowanego powtórzyć w interesie Czytelników prócz powyższego także następujące artykuły z „Działu illustrowanego“: Z wędrówki po Królestwie Polskiem, Wygrywający los, Tadeusz Rejtan (odcinek 6) i powieść „Gady“ (odcinek 15) — Przyp. Redakcyi.

W roku 1903-im wybrano go po raz pierwszy posłem z okręgu toruńsko-chełmińsko-wąbrzeskiego, obecnie wybrany posłem z okręgu kościersko-starogardzko-tczewskiego, jest od dn. 19-go z. m. w Kole polskiem członkiem komisyi petycyjnej.

* * *

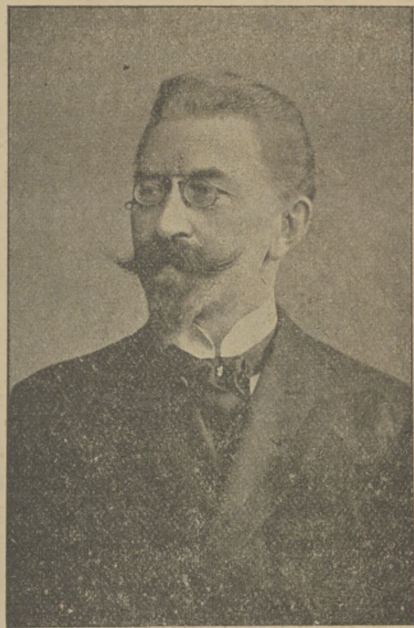
Koło polskie w pierwszym parlamencie Rzeszy Niemieckiej, skoro tylko nadarzyła się sposobność wystąpienia, zaznaczyło deklaracyą złożoną 1-go kwietnia 1871 u laski marszałkowskiej, wstrzymanie się od głosowania nad adresem do cesarza i zarazem postawiło wniosek z poprawką do art. 1. projektu do prawa, dotyczącego konstytucyi państwa niemieckiego, która żądała, aby zamieścić dodatek „z wyłączeniem ziem polskich, zostających pod panowaniem pruskiem‟.



Poseł Julian Sas Jaworski.

Poseł Dr. Alfred Żółtowski w dłuższej i gruntownej mowie uzasadnił w imieniu Koła ten wniosek, wykazawszy odrębność naszą tak z prawa przyrodzonego, jakoteż podług prawa przyznanego nam wyraźnie traktatem wiedeńskim.

Kanclerz ks. Bismarck w odpowiedzi zaprzeczył polskiemu mówcy prawa przemawiania w imieniu ludności jakiejkolwiek części kraju polskiego, jakimkolwiek językiem mówiącej. W swojem przemówieniu nie liczył się ks. Bismarck z słowami, lecz rzucał najgwałtowniejsze pociski na nasz naród, nasze dzieje i dawne rządy polskie. Odpowiadali kanclerzowi posłowie Dr. Wł. Niegolewski i Krzyżanowski. Pierwszy z nich wykazywał żywotność narodu naszego już przez to samo, „że mocarstwa zaborcze wzajemnie się pilnować za konieczność uważały, aby tłumić narodowość naszą‟, przypomniał w obronie rządów polskich, jak to krainy wschodnio-pruskie traktatem welawskim elektorowi brandenburskiemu odstąpione, pragnęły koniecznie pozostać pod panowaniem polskiem a nawet podskarbiemu koronnemu Rejowi miasto Królewiec 10,000 talarów ofiarować chciało, aby powrót jego pod berło polskie wyrobił. Poseł Niegolewski odwoływał się na traktat wiedeński, przyznający rodową łączność pomiędzy trzema częściami rozebranej Polski. Poseł zaś Krzyżanowski, zabierając głos, odpowiedział kanclerzowi, że właśnie po jego mowie w r. 1867, gdzie również niechciał widzieć polskości w ludzie naszym, więcej niż kiedykolwiek obranych zostało posłów polskich. Kanclerza popierał dep. Unruh (z Babimostu). Naszych posłów poparł zaś poseł Mallinckrodt, zacny przywódzca frakcyi centrum i powiedział: „że jest obowiązkiem współczucie okazać dla tragicznego losu Polaków, którym Europa zachodnia tak wiele zawdzięcza‟. Poseł Schraps, demokrata, oświadczył w imieniu swojego stronnictwa, „że nie bierze udziału w krzywdzie, jaka się dzieje Polakom‟. Dyskusyę następnie zamknięto, a wniosek polski odrzucono nieomal jednogłośnie. Posłowie polscy wyszli z sali.



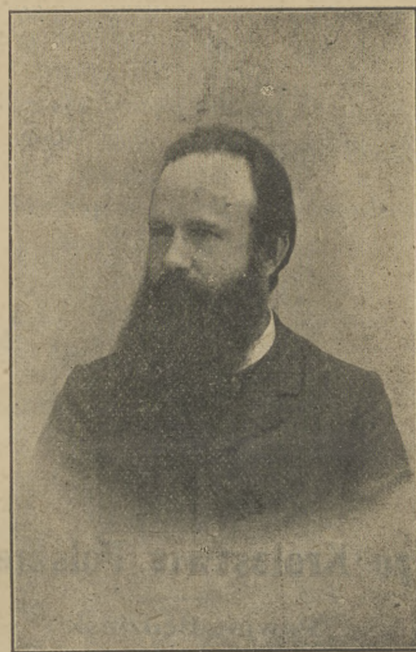
Poseł Roman Janta-Połczyński.



Poseł Wiktor Kulerski.

Takie było pierwsze wystąpienie posłów polskich w pierwszym parlamencie Rzeszy Niemieckiej i taki przebieg tego ciekawego pojedynku parlamentarnego między siłą, a prawem; między reprezentantem wszechpotęgi państwowej w całej sile i blasku powodzenia a przedstawicielami tradycyjnego nieszczęścia.

Weszliśmy więc w poczuciu krzywdy i niemocy zapobieżenia takowej, zmuszeni koniecznością w ten nowy okres działania politycznego, które stanowią obrady w parlamencie Rzeszy Niemieckiej.



Poseł Jan Brejski.

(Koniec.)

Złote myśli.

Poświęcenie ma wartość, dopóki nikt o niem nie wie; traci ją z chwilą, gdy zyskuje poklask świata.

* * *

Starość jest szczególną chorobą: pielęgnujemy ją, by trwała jak najdłużej.

* * *

Za uciążliwą drogę z nicości do wieczności otrzymujemy skąpy napiwek — życie.

Hymn do Świętych Polaków).*

Święci mieszkańcy niebieskiej krainy,
Do Was bieżymy w czasie złej godziny,
Których za własnych współziomków ogłasza,
Ojczyzna nasza.
Po tejże ziemi samiście chodzili,
Z tych samych źródeł wodę naszą pili,
Polka was matka mlekiem swem karmiła,
Rola żywiła.
Wspomnijcie, bracia, na wasze rodaki,
Książęta niebios na liche żebraki,
Dobrego Boga błagajcie za nami
Swemi prośbami.
Jeśli głód, wojna, lub powietrze wrogie,
Nawiedzać zechce krainy ubogie,
Brońcie nas, stojąc na wałach granicy,
Święci Strażnicy.
Boże, niech prośba będzie uiszczona,
Jako przez wierne Twe dzieci czyniona,
I zasługami wielkiemi wspierana
Chrystusa Pana.



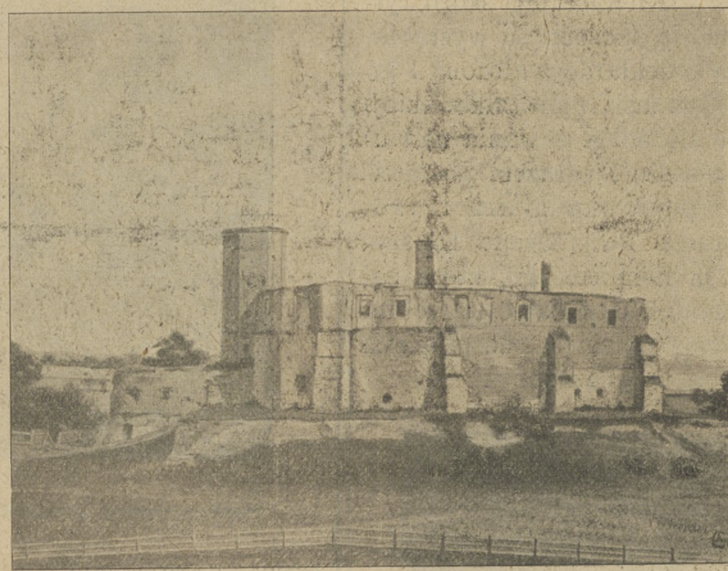
Z wędrówki
po Królestwie Polskiem.

Powiat Będziński.
(Ciąg dalszy.)

Z Olsztyna do Siewierza kawał drogi duży, ale nie ciekawy. Z Zarek szosą dojechałem do Myszkowa, gdzie przy samej stacyi, obok dużego stawu, wznoszą się trzy fabryki, a dalej koleją do Zawiercia, osady fabrycznej, która, prócz ogromnych budynków z wysokiemi kominami, wyrzucającemi bezustannie czarne kłęby dymu, pokrywającego całą okolicę, jakby brudno-szarą szmatą, niema nic interesującego. Z pośród powodzi ognia i dymu wyłania się nowo wzniesiona świątynia — i zda się, że ramionami swemi przygarnąć pragnie tych, co tu w ciężkiej mrówczej pracy, szukać chcą pociechy, miłosierdzia i współczucia.

Po blisko dwugodzinnej podróży szosą, ukazała się osada Siewierz. Gdyby nie kościół i ruina starego zamczyska, miejscowość ta nie mogłaby wywrzeć na turyście żadnego wrażenia. A jednak, ileż tu wspomnień, ile pamiątek! Każda niemal piędź tej ziemi zroszoną jest obficie krwią najezdników i obrońców...

Przenieśmy się myślą w prastare, zamierzchłe czasy, kiedy ziemia siewierska, jak wogóle cała tutejsza okolica, pokryta była gęstemi, nieprzebytemi lasami, przez którą płynie rzeka Przemsza — wskutek ciemnych borów przezwana „czarną". Nazwa także wsi i miasteczka, które się rozłożyły w tutejszej okolicy, jest wymowną wskazówką, że powstały na trzebieży puszczy leśnej. Całe wieki prawdopodobnie lud potrochu wycinał i karczował lasy, a znalazłszy glebę nieurodzajną, piaszczysto-kamienistą, nie tak prędko się tu osiedlił.



Ruiny zamku w Siewierzu.

Przez całą tę puszczę wiła się droga, po której przeciągały zastępy pretendentów śląskich do tronu krakowskiego. To też dla obrony tej krainy stanęły w nieprzebytych borach grody małopolskie, czepiając się skał. Poczynając od Ojcowa ciągną się one rzędem, równolegle do dawnej granicy. Dziś z niektórych pozostały tylko ruiny, z wielu zupełnie niema nawet śladu; inne przerobiono na mieszkania. To, co zostało, świadczy, że prawie wszystkie te obronne zamki pochodzą z XIII i XIV stulecia.

Siewierz, ukryty w głębinie puszczy leśnej, był podatną miejscowością na wszelkie zasadzki. Jedną z wielu opisują kroniki:

Gdy wojsko śląskie wracało z Krakowa w r. 1289, w miesiącu kwietniu, gdzie odprowadziło i osadziło na tronie Henryka Probusa, pod Siewierzem zaczaili się Bolesław książę mazowiecki i Władysław Łokietek, podówczas książę sieradzki, i pobili tu na głowę Ślązaków, wiele krwi przelali. W walce tej polegli w młodym wieku Przemysław ks. sprotowski, a Bolesława opolskiego, ciężko poranionego, wzięto do niewoli.

O zamku (Sever) nad Czarną Przemszą pierwszą wzmiankę znajdujemy w kronikach z r. 1163, kiedy Kazimierz II Sprawiedliwy miał go podobno oddać w dożywocie Wickfriedowi, przybyłemu z Niemiec — i że tenże Kazimierz darował Siewierz wraz z Bytomiem w r. 1180 synowi Mieczysława, księcia na Raciborzu, Kazimierzowi, którego do chrztu trzymał. Dowodzi to, że od roku 1180-go kasztelania Siewierska była w posiadaniu dziedziców małopolskich, i od tej dopiero chwili ta część kraju wyszła z rąk polskich i zwiększyła obszar państwa śląskiego.

Władysław książę bytomski sprzedaje Siewierz w r. 1337 Kazimierzowi księciu cieszyńskiemu; w r. 1443 kupuje całą posiadłość od Wacława księcia cieszyńskiego, kardynał Zbigniew Oleśnicki, który jednak dopiero po trzech latach obejmuje tę olbrzymią fortunę, gdyż dwaj bracia Wacława sprzeciwiali się sprzedaży. Odtąd szmat tej ziemi powraca i zostaje przy swej macierzy. Biskup Jan Rzeszowski w r. 1484 używał tytułu „Dominus Princeps Ducatus Severensis", następcy jego tytułują się książętami siewierskimi, mieli prawo miecza, bicia pieniędzy. Znane są w numizmatyce dukaty stempla biskupa Sołtyka z r. 1762 i grosze srebrne z r. 1701. Władzę sądową nad szlachtą, osiadłą w tym okręgu, biskupi, odbywali bez apelacyi, stanowili prawa, mianowali urzędników, nadawali przywileje, nawet szlachectwo, słowem — rządzili udzielnie w księstwie, i żadnym podatkom i ciężarom na rzecz państwa nie podlegali.

*) Hymn ten znajdował się w bardzo starej, dziś już nie istniejącej książce do nabożeństwa, a że wiersz jest pełen pięknych myśli, sądzimy, iż nasi Czytelnicy chętnie z nim się zapoznają. (Przyp. Red).

W r. 1518 Kazimierz, książę na Cieszynie, wystąpił z pretensyami do księstwa Siewierskiego, lecz król Zygmunt I rozważył dowody obu stron, i wydał wyrok uchylający zakusy książąt zniemczonych.

Biskup Filip Padniewski wprowadził w miasteczku targi w r. 1567, naznaczając cła na przywiezione tu towary. Władysław IV w uniwersale do wojska 1635 zakazuje wszelkich w księstwie kwater, jak również furażu i nadużyć.

Stefan Czarniecki, kasztelan kijowski, po poddaniu Krakowa Szwedom, stanął tu w październiku r. 1655, jako w miejscu według umowy wskazanem. Nie dotrzymując zawartych układów, nieprzyjaciel wpada niespodzianie do Siewierza, zmusza garstkę wojska polskiego do przysięgi na wierność królowi szwedzkiemu, i całe wojsko uprowadza pod Częstochowę. Czarniecki zawdzięcza szczęśliwym okolicznościom, że zbiedz mu się udało.

Na mocy konstytucyi 1790 r. 22-go lipca zniesiono księstwo Siewierskie. Ostatnim księciem był biskup krakowski, Feliks Paweł Turski.

Miasteczko małe. Mieszkańcy zajmują się przeważnie rolnictwem, jest wielu między nimi garncarzy, strycharzy, powroźników, a ze swemi wyrobami objeżdżają jarmarki. Domy stare, noszą cechę budownictwa średnich wieków, z oryginalnemi facyatkami, zwróconemi do ulic i placów; dachy siodełkowate, z małemi między domami przejściami, gdzie obficie deszcz spada z dachów. Wszystko to dowodzi, że się od wieków nic tu nie zmieniło.

Okolica obfituje w marmur i kruszce, i znaczne posiada kopalnie rudy żelaznej; w r. 1724 staraniem i nakładem bisk. Feliksa Szaniawskiego, powstały tu wielkie piece żelazne.

Z bramy cmentarza kościelnego roztacza się widok na niziny, las i łąki.



Kościół parafialny w Siewierzu.

Na sztucznym niewielkim nasypie, stoją ruiny siewierskiego zamku i imponują swemi rozmiarami.

O zamku kroniki wspominają w XII wieku, ale prawdopodobnie była to wówczas budowla drewniana i niewiadomo gdzie się znajdowała. Zamek stanął w XV wieku na dzisiejszem miejscu. Bielski w swej „Kronice" pisze, że kiedy Zbigniew Oleśnicki kupił księstwo Siewierskie — „Przemysław książę cieszyński, wtargnął do Siewierskiej ziemi, Zbiszkowi biskupowi krakowskiemu zamku w Siewierze dobywał (1451 r.), ale nie mógł mu nic uczynić, tylko co szkody wielkie wszędzie wokoło podziałał."

Nie mógł więc być zamek wtedy drewnianym, gdyż tak długo opierać by się nie mógł.

Podług opisu, zamek był piętrowy, w stylu gotyckim, z wieżą ośmiokątną, zakończoną barokowo. Zamek podźwignął i przyozdobił biskup Piotr Tomicki, a Franciszek Krasiński w r. 1574, polecił obywatelom księstwa utrzymywać go w dobrym stanie. Często przebywali na zamku biskupi, a stale tu zamieszkał Kajetan Sołtyk.

Dziś wszystko tu świeci pustkami i ruiną, a niezadługo, prócz podań i starych rysunków, nic z wielkości jego nie zostanie. Kościół parafialny pod wezwaniem św. Mateusza, pochodzący podług akt miejscowych z XV wieku, — jest dziełem biskupa Sołtyka, w stylu odrodzenia, otoczony murem, z monumentalną bramą, strzelającą ozdobami w górę. Skutkiem licznych



Kościół św. Jana w Siewierzu.

przerabiań i odnawiań kościół stracił pierwotny charakter stylowy.

Herb miasta: orzeł koronowany, z dzióbem na prawo, na piersiach litera S, w prawej łapie dzierży szalkę, w lewej palmę.

Jedną z największych osobistości Siewierza, jest mały kościółek pod wezwaniem „Ścięcie św. Jana"; zabytek budownictwa XII wieku, odległy o $^1/_4$ mili od Siewierza, stoi przy szosie wiodącej do granicy śląskiej samotny wśród pola i grzebalnego cmentarza. Powód odsunięcia tak daleko cmentarza jest ten, że właśnie stał tu prastary kościółek murowany z obszernym pałacem, więc go na ten cel zużytkowano.

Tylko strona wschodnia kościołka ze ścianą szczytową, dochowały dotychczas cechy romańskie, i świadczą o zabytku prastarej architektury, — jak twierdzi Władysław Łuszczykiewicz, członek Akademii umiejętności w Krakowie, w drukowanym w Krakowie w r. 1897 swym „Przyczynku do dziejów budownictwa XII i XIII wieku w Polsce."

Obraz „Ścięcie św. Jana" ma wybitny typ drugiej połowy XV wieku. Na murowanej mensie, ustawiony jest ołtarzyk renesansowy. Obraz środkowy przedstawia Salomeę*) z głową św. Jana na tacy, a obok siedzącego strasznego Heroda, u stóp którego leży na ziemi ciało męczennika. Na skrzydłach obrazu, po lewej stronie anioł zwiastujący, po prawej Najświętsza Panna w postaci siedzącej. Figury są małe, choć zupełnie popsute ręką nieumiejętnego restauratora, który obraz pomalował na nowo; poprawka została uskutecznioną w r. 1813, jak wskazuje wybity dłutem napis na progu ołtarza.

* * *

Z Siewierza wracać musiałem do Zawiercia, gdyż tylko szosą miałem najkrótszą i najlepszą komunikacyę do Ogrodzieńca.

Unikając upału, który niemiłosiernie dokuczał, z Zawiercia, gdzie nocowałem, wyjechałem wózkiem przed wschodem słońca.

Mieszkańcom miasta podobna sposobność, i uczta dla oka i duszy rzadko się zdarza, a jeśli przytrafi się kiedy, to najprzód wysokie mury kamienic — przesycone oparami miejskiego powietrza, zasłaniają ten widok wspaniały. A zresztą życie miejskie nie usposabia do zachwytów, któremi darzy wschód słońca tych, co otoczeni daleką perspektywą, urozmaiconą barwnemi polami, łąkami, lasami, i wodami rzek i stawów, wśród ożywczo-wonnego powietrza, mają szczęście lubować się i napawać jedną z najmajestatyczniejszych chwil, jaką jest wschód słońca, w lecie, w dzień pogodny.

Wyjechałem. Ranek był prześliczny. Przynaglałem dobrem słowem i obietnicą napiwku mego woźnicę, aby konie poganiał, pragnąłem bowiem, jak najprędzej przed wschodem słońca wyrwać się z labiryntu kominów Zawiercia.

W koło mnie cisza i niczem nie zmącony spokój. Wszystko pogrążone we śnie. Nawet ziemia była spowita białą oponą nocnej rosy, i w tem puchowem łożu zażywała jeszcze wywczasu. Tylko w górze, na czystem lazurowem niebie, nie zbrudzonem najmniejszym obłoczkiem, słychać było daleko gdzieś, wysoko pod sklepieniem niebiosów, świergot skowronków, nucących pierwszy hymn pozdrowienia.

Wielu poetów kusiło się odtworzyć barwnie, obrazowo, wschód słońca. Nie poważę się wstępować w ich ślady, tembardziej, gdyż jestem przekonany, że żaden wszechświatowej sławy artysta, słowa czy pędzla, nie jest w stanie wyśpiewać lub barwnemi farbami odtworzyć chwilę, w której kula słoneczna powoli i majestatycznie wypływać zaczyna na horyzont, a swem różnobarwnem światłem i ciepłem, rozjaśnia, ogrzewa, budzi z uśpienia, powoływa do życia i pracy, wszystko i wszystkich, co na tej ziemi żyją, cierpią, walczą, nienawidzą się i kochają.

Trudno to odtworzyć pędzlem lub piórem, — można tylko odczuć duszą i sercem, to niezrównane dobro, płynące z ożywionych słońca promieni.

Nie odrywając wzroku od wspaniałej tarczy słonecznej, na którą w chwili wschodu można bez zmrużenia oczu patrzeć, ani spostrzegłem, że dojeżdżamy do miasteczka Ogrodzieniec, oddalonego od Zawiercia o milę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

*) Była to córka Herodoady, kochanki Heroda, tanecznica, a tak podobała się Herodowi Antypie, iż król upojony jej wesołością, na jej prośbę, obiecał dać głowę św. Jana Chrzciciela — to też posłał kata i ten uciął głowę św. Janowi.

Zdania i myśli.

...Gdy ludzie mówią całkiem co innego, niż myślą, to się nazywa wymianą myśli.

...U ludzi dobrych i wesołych zmienia się wesołość pod wpływem zmartwień w zgryźliwość i mizantropię.

Żółkowski.

Obóz Langiewicza.

Syn ziemianina z pod Częstochowy należał do powstania w 1863 roku i tak opisuje swój pobyt w obozie Langiewicza, który był naczelnikiem wszystkich oddziałów powstańczych.

Obóz w Goszczy niedaleko Krakowa założył Maryan Langiewicz, by do niego ściągał każdy, kto chciał stanąć w obronie uciśnionej Ojczyzny.

To też nie było rodziny w kraju, którąby męża, brata lub syna nie posłała na ofiarę.

W obozie równały się wszystkie stany — włościanin i hrabia, szlachcic i mieszczanin walczyli za jedno, bo jedno kochali, krew i życie za jedno dawali.

Langiewicz kazał zbudować mnóstwo większych i mniejszych szałasów (bud) ze słomy, by mieli gdzie ochotnicy skryć się od deszczu i chłodu. Po całym obozie leżały stosy kos, dubeltówki i karabiny stały w kozłach, wozy naładowane sianem, słomą, workami, chlebem, a przy każdym wartował kosynier. Za wozami stała gromada bydła przeznaczonego na rzeź, z innej strony dolatywało rżenie koni i okrzyki wart rozstawionych w około obozu, pomiędzy któremi, chodziła warta kosynierów, pilnując, czy wszyscy na miejscu i w porządku.

Z brzaskiem dnia odzywały się bębny i trąbki z ranną pobudką, a potem rozpoczynały się musztry, ogniska buchały dymami, bo kucharze gotowali śniadanie.

W obozie Langiewicza ochotnicy składali wojsko rozmaite. Tu stali strzelcy, tam kosynierzy. W oddali widać było oddziały jazdy z malinowo-białemi chorągiewkami, a mundur ich, to krakowskie sukmany białe z czerwonemi wyłogami i czerwone rogate czapki.

Strzelcy munduru nie mieli: czamarki, guńki, żółte kożuszki, burki, a wszyscy w rogatywkach ciemnych i butach długich.

Kosynierzy była to zbierana drużyna, piechota licho odziana, często bez butów—składali ją parobcy chłopscy i od rzemieślników wyrobnicy.

Broń była rozmaita: były i bardzo drogie dubeltówki, sztucery, pistolety, szable, były i sznurkami powiązane, i rdzawe pałasze i piki.

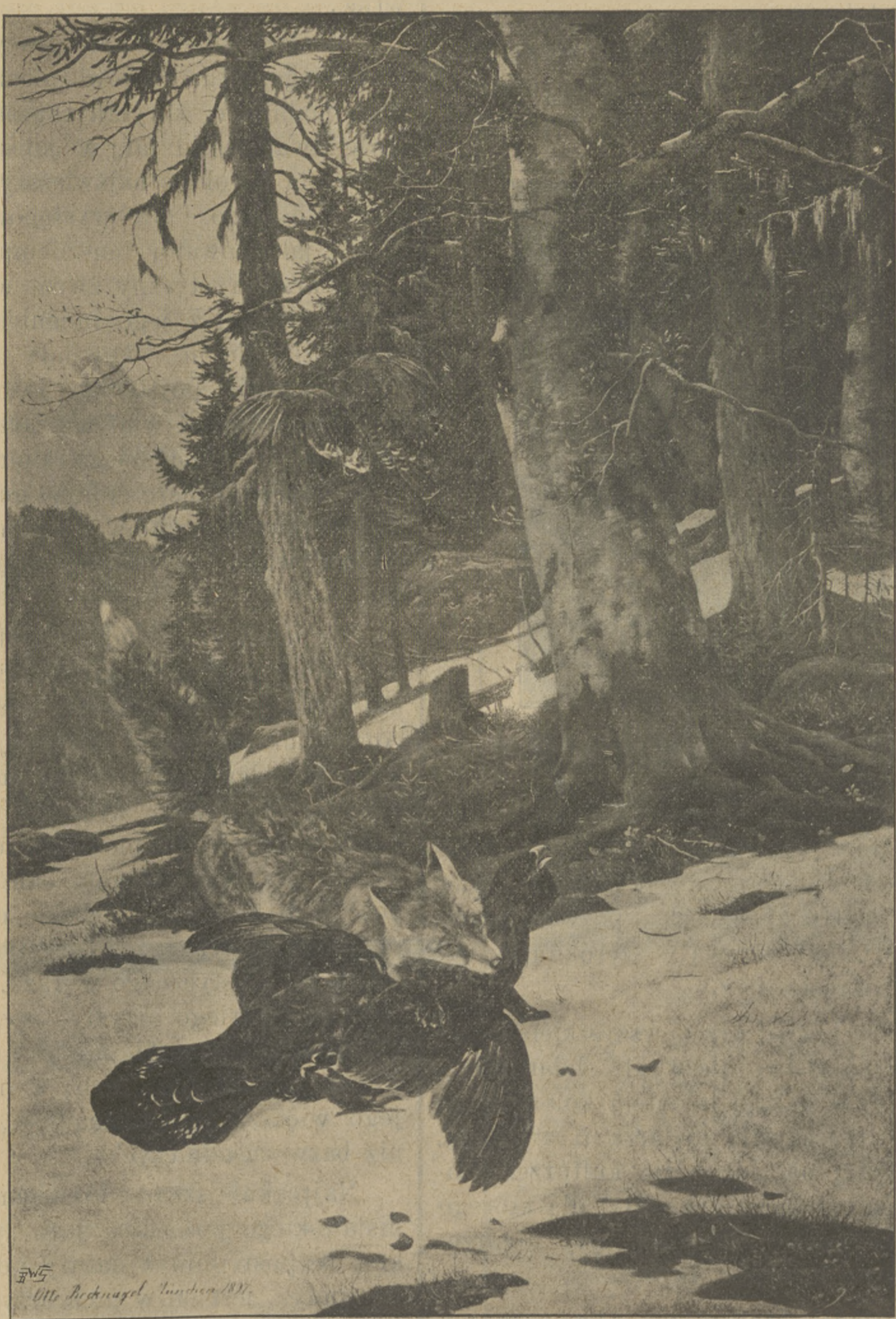
Kosy trojakie, jedne zwykłe od koszenia, inne przerobione z kos do sieczkarni, a inne robione umyślnie dla powstańców — proste, obosieczne, podobne do czerkieskiego noża, a wszystkie na sztorc osadzone. Była to straszna

broń — kosynier kłuł i rąbał okropnie.

Kawalerya miała konie rozmaite, obok doskonałych, zupełnie liche.

Dnia 11-go marca oddziały ustawiono pułkami pod broń, poczem Langiewicz ze swoim orszakiem objechał szeregi, a jeden z pułkowników oznajmił, że rząd narodowy naznaczył Langiewicza dyktatorem t. j. naczelnikiem powstańczych drużyn.

W pół godziny potem oddział wymaszerował do Zaryszyna, gdzie Langiewicz obrał sobie główną kwaterę. Tutaj odbyła się bardzo poważna uroczystość składania przysięgi. Ustawiono cały oddział powstańczy na wzgórku w czworobok, pośrodku wzniesiono ołtarz, przy którym ksiądz Konarski, kapelan obozowy, odprawił mszę świętą, poczem przystąpiono do przysięgi. Złożył ją narodowi Langiewicz i cały jego sztab, a następnie wojsko przysięgało na wierność ojczyźnie i posłuszeństwo naczelnikowi. Jaki był koniec powstania narodowego w r. 1863, wiemy, na nasze nieszczęście, aż nadto dobrze.



Łatwa zdobycz.

A. P. CZECHOW.

Wygrywający los.

(Tłomaczenie z rosyjskiego).

Iwan Dmitricz, człek przeciętny, wydający na utrzymanie się wraz z rodziną tysiąc dwieście rubli rocznie i bardzo zadowolony ze swego położenia, usiadł jakoś po kolacyi na kanapie i począł czytać gazetę.

— Zapomniałam zajrzeć dziś do gazety — rzekła jego żona, sprzątając ze stołu. — Zobacz-no, czy tam niema listy losowań?

— A jest — odrzekł Iwan Dmitricz. — Więc twój los nie przepadł w zastawie?

— Nie, opłaciłam procent we wtorek.

— Jaki to numer?

— Serya 9.499, Numer losu 26.

— Taak... Zobaczymy... 9.499 i 26.

Iwan Dmitricz nie wierzył w loteryjne szczęście i kiedy indziej za nic w świecie nie chciałby sprawdzać tabliczki losowań, ale teraz z braku innego zajęcia i — dlatego, że miał gazetę przed oczami — przesuwał palcem z góry na dół po numerach seryi. I natychmiast, jakby na urągowisko jego niedowiarstwu, nie dalej jak w drugim wierszu od góry, rzuciła mu się wyraźnie w oczy cyfra 9.499! Nie patrząc już na numer losu, nie sprawdzając już, opuścił szybko gazetę na kolana i jakby go ktoś oblał zimną wodą, uczuł pod łyżeczką przyjemny chłodek: łaskotanie, strach i błogość!

— Maszo, 9.499 jest! — zawołał głuchym głosem.

Żona spojrzała na jego zdziwione, przestraszone oblicze i przypuszczać poczęła, że on nie żartuje.

— 9.499? — zapytała, blednąc i upuszczając na stół złożony obrus.

— Tak, tak... Jest... Seryo ci mówię!

— A numer losu?

— Ach, prawda! Jeszcze numer losu. Zresztą, czekaj... czekaj-no. Nie, ale powiedz sama? Więc bądź co bądź rozumiesz...

Iwan Dmitrowicz patrząc na żonę, uśmiechał się szeroko i bezmyślnie, jak dziecko, któremu pokazują błyskotliwe cacko. Żona uśmiechała się również: jej tak samo jak i jemu przyjemno było, że wymienił tylko seryę i nie śpieszył się dowiedzieć numeru szczęśliwego losu. Łudzić się i drażnić nadzieja możebnego szczęścia — to tak słodko, miło!

— Nasza serya jest — rzekł Iwan Dmitricz po długiem milczeniu.

— Jest zatem prawdopodobieństwo, żeśmy wygrali. Tylko prawdopodobieństwo, ale zawsze jest!

— No, a teraz popatrz.

— Poczekaj. Będzie dość jeszcze czasu na rozczarowanie. Wydrukowane w drugim wierszu od góry, znaczy to, że wygrana wynosi 75.000 rubli. To nie pieniądze, a siła, kapitał! No i jeśli spojrzę na tablicę a tam wydrukowane — 26! To cóż? Słuchaj, cóżby było, gdybyśmy tak naprawdę wygrali?

Małżonkowie poczęli się śmiać i długo patrzeli na siebie w milczeniu. Możliwość szczęścia oduczyła ich, nie byli w stanie nawet marzyć, wypowiedzieć na co im obojgu potrzebne te 75.000 rubli, co za nie kupią, dokąd pojądą. Myśleli tylko o cyfrach 9.499

i 75.000, przedstawiali je sobie w wyobraźni, lecz o samem szczęściu, które było tak prawdopodobnem, jakoś pomyśleć nie mogli.

Iwan Dmitricz, trzymając w rękach gazetę, przeszedł się parę razy od jednego rogu pokoju do drugiego i dopiero, gdy już ochłonął z pierwszego wrażenia, zaczął cokolwiek marzyć.

— Ano, jeśliśmy tak wygrali? — odezwał się. Przecież to nowe życie, to katastrofa! Los jest twoją własnością, ale gdyby tak stanowił moją własność, to przedewszystkiem nabyłbym za 25 tysięcy rubli jaką realność, coś w rodzaju majątku ziemskiego; 10 tysięcy poświęciłbym na jednorazowe wydatki: nowe urządzenie... podróż, spłatę długów i t. p... Pozostałe 40.000 rubli złożyłbym do banku na procent.

— Tak, majątek — byłby nie zły — odpowiedziała mu żona, siadając i opuszczając ręce na kolana.

— Gdzieś w tulskiej lub orłowskiej gubernii... Po pierwsze nie potrzebowalibyśmy letniego mieszkania, no i przytem byłby jaki taki dochód.

W wyobraźni jego powstawały obrazy, jeden powabniejszy i poetyczniejszy od drugiego, a we wszystkich widział siebie samego sytym, spokojnym, zdrowym, było mu ciepło, gorąco nawet! Oto, zjadłszy zimnego, jak lód, chołodźcu, leży do góry brzuchem na gorącym piasku nad samą rzeką, albo też w ogrodzie pod lipą... Gorąco... Synek i córka czołgają się w pobliżu, bawiąc się w piasku, lub też łowiąc w trawie biedronki. On drzemie słodko, nie myśli o niczem i czuje całem ciałem, że nie ma obowiązku iść do biura ani dzisiaj, ani jutro, ani pojutrze. Gdy mu się uprzykrzy leżeć, idzie na łąkę, albo do lasu na grzyby, albo też wreszcie przypatruje się jak chłopi łowią ryby niewodem. Kiedy słońce zachodzi, bierze prześcieradło, mydło i idzie do kąpieli, gdzie rozbiera się, nie śpiesząc się, rozciera sobie długo piersi dłoniami i wchodzi do wody. A w wodzie koło matowych kółek mydlanych uwijają się rybki, kołyszą się zielone rośliny wodne. Po kąpieli herbata ze śmietanką i z maślanymi obwarzankami... Wieczorem przechadzka, albo też wincik z sąsiadami.

(Dokończenie nastąpi).

Z teki tetryka.

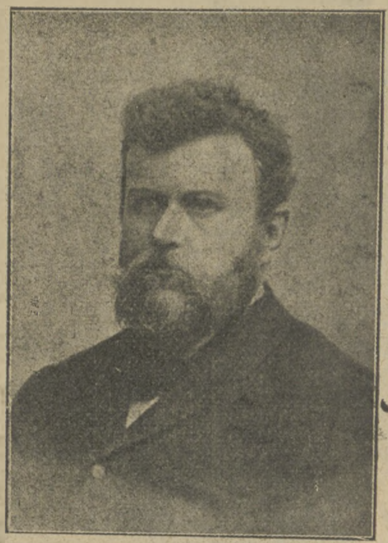
...Wielu dostaje się wyżej, na sposób kominiarzy, to jest krętemi brudnemi przejściami; to też wyglądają jak kominiarze.

Z żałobnej karty.

Śp. Jan Stanisławski.*)

Śmierć Jana Stanisławskiego, nie poprzedzona wiadomością o jego chorobie, wywarła głębokie wrażenie wśród krakowskiej kolonii artystycznej. Śmierć ta nastąpiła niespodzianie, przecinając pasmo dni artysty w całej pełni rozwoju jego niepospolitego talentu.

W stosunkowo krótkim czasie Stanisławski zajął jedno z najwydatniejszych miejsc w polskiem malarstwie



Ś. p. Jan Stanisławski.

współczesnem, miejsce to na długo pozostanie niezajętem, na indywidualność bowiem artysty składało się wiele pojedyńczych cech, pozwalających mu działalność swą w szerokim rozwijać zakresie.

Traci więc przedewszystkiem polskie malarstwo niezwykle obdarowanego przez naturę talentem kolorystycznym pejsażystę, malarza o wysokiej, zdobytej na Zachodzie kulturze, subtelnego badacza przyrody, dla którego jej zmysłowe przejawy były nieprzebranym zdrojem twórczości.

Młoda krakowska Akademia postradała w Stanisławskim najpoważniejszego swem głębokiem wykształceniem pedagoga, jednego z tych nielicznych profesorów, którzy zdołali nietylko wytworzyć cały zastęp uczniów, lecz i piętno swej indywidualności na najmłodsze pokolenie pejsażystów wycisnąć. W malarstwie polskiem najświeższej doby szkoła Stanisławskiego zamanifestowała wyraźnie swą odrębność, a co więcej, niejednemu z rzeczywistych talentów dała początek.

Druga instytucya, którą osierociła śmierć znakomitego malarza, to stowarzyszenie krakowskich artystów „Sztuka". Instytucya ta, tracąc swojego prezesa, traci równocześnie z tem swojego założyciela, swoją duszę wewnętrzną. Stanisławski był osią moralną, około której obracała się zbiorowa działalność stowarzyszonych, żywotnym kierownikiem całej organizacyi, którą do życia powołał i ciągle starał się rozwijać.

Początek samodzielnej pracy Stanisławskiego, sięga czasów niedawnych, jego malarska karyera trwała zaledwie dwadzieścia lat, w całości więc przypada na okres najświeższy malarstwa polskiego. Nie występował on nigdy, jako nowator, tem niemniej bardzo charakterystyczny zwrot w krajobrazie naszym z jego imieniem pozostanie złączonym. On dał początek krajobrazowi, pojętemu, jako fragment, on również wlał w szarzyznę epigonów Chełmońskiego pierwiastek kolorystyczny, zaszczepiając go w licznie koło swych uczniów i w ten sposób oddziaływając na zmianę pojęć i dążeń.

Stanisławski posiadał wybitny talent, który miał tę oryginalną cechę, że najdobitniej wyrażał się w maluczkich rozmiarami obrazach. Talent jego polegał przedewszystkiem na możności oddania chwilowego wrażenia natury kilkoma tonami, harmonijnie zestawionymi. Na tem polegała cała subtelność jego kreacyi. Głębokie odczucie przyrody łączył on z kolorystyczną finezyą jej plastycznego wyrazu. Kolorystyka zmarłego artysty wypływała z poczucia harmonii, nie zaś z zestawienia jaskrawych farb; w obrazach jego większa jest rozmaitość tonów, niż barw zasadniczych.

Najpiękniejszemi kreacyami Stanisławskiego pozostaną jego przepiękne, bezpośrednio z natury odtwarzane studya, jest on w nich artystą, sięgającym wyżyn rzeczywistego natchnienia. Czuć w nich zupełne skojarzenie się duszy artysty z duszą przedstawionej przez niego chwili.

Pobieżną tę sylwetkę zakończę szczegółami biograficznemi. Jan Grzegorz Stanisławski ur. 24 czerwca 1860 r. na Ukrainie, w powiecie Zwinogrodzkim, jako syn profesora uniwersytetu kazańskiego, znanego tłomacza „Boskiej komedyi", ukończył w tem mieście gimnazyum. Stopień kandydata nauk matematycznych zdobył w uniwersytecie warszawskim. Uczę-

*) Obrazy śp. Jana Stanisławskiego wystawione są na wystawie sztuk pięknych w Poznaniu. — Przyp. Redakcyi.

szczał następnie do Instytutu Technologicznego w Petersburgu, lecz porzuciwszy go, wstąpił do warszawskiej szkoły rysunkowej pod kierunek ś. p. Gersona. Po rocznym pobycie w krakowskiej szkole, w 1885 r. wyjechał do Paryża, gdzie przez 10 lat przebywał. Debiutuje w *Salon des Champs de Mars*, gdzie w 1890 r. wystawia cały szereg ukraińskich studyów, które, rozkupione odrazu, dają poznać szerszemu ogółowi młody, niezwykły talent. Maluje kolejno pejzażowe tło w panoramach: „Berezyna" i „Golgota". W 1894 r. otrzymuje we Lwowie medal bronzowy za swój „Sad", w 1900 r. *mention honorable* na wystawie powszechnej paryskiej. W 1897 r. pozostaje powołany przez dyrektora Fałata na profesora klasy pejzażowej w zreorganizowanej akademii krakowskiej, osiada w Krakowie i mieszka w nim do śmierci. Wkrótce po przybyciu do Krakowa tworzy stowarzyszenie artystów p. t. „Sztuka". Z licznego zastępu uczni Stanisławskiego do wybitniejszych zaliczyć można: Ziomka, Filipkiewicza, Straszkiewicza, Uziębłę, Kamockiego, Kowalewskiego, Piekarskiego, Szczyglińskiego, Czajkowskiego i w. in.

Zmarł Stanisławski w dniu 6 stycznia r. b., jako jedna z najpoważniejszych indywidualności artystycznych ostatniego okresu malarstwa naszego, szczerze żałowany przez kolegów i tych, którzy mieli możność poznać go bliżej.

H. Piątkowski.

Dzwon niedzielny.

Dzwon!.. niedziela... Pański dzień,
Więc człowieku, szaty zmień —
Szatę ciała, woli myśli:
Niech się krzyż na czole kreśli,
Gdy domową rzucasz sień.

Dzwon!.. niedziela: Pan tak chciał
Po stworzeniu wszelkich ciał,
By od stworzeń wszech tej ziemi,
Oczy swoje ciesząc niemi,
W dzień ten uwielbienie miał.

Dzwon!.. niedziela... Pański dzwon
Uroczysty niesie ton;
Wdzięczne serca rzewnie woła,
By przed Panem szły giąć czoła,
Gdzie dom chwały swej ma On.

Dzwon!.. niedziela; wszystko rzuć,
Świętą myśl człowieku budź,
Startszy pot po pracy z czoła.
Do świątyni dzwon cię woła:
Spiesz i Panu cześć tam nuć.

Dzwon!.. niedziela: w święty próg
Z wszystkich stanów, z wszelkich dróg
Garnij się tam — o, narodzie!
Bo tam dzieci w wspólnej zgodzie
Czeka wspólny ojciec — Bóg.

J. Werban.

Henryk Opieński*.

Znany krytyk, muzyk i kompozytor zbierał w tym sezonie obfite laury w prasie niemieckiej za sześć pieśni na jeden głos z towarzyszeniem fortepianu, wydane u Ernsta Eulenburga w Lipsku (op. 8.)



Henryk Opieński.

Wiemy aż nadto dobrze, jak nasi sąsiedzi z zachodu mało bywają pochopni do pochwał wobec wszelkiej twórczości wogóle, a polskiej — w szczególności.

Tem serdeczniej więc możemy p. Opieńskiemu powinszować zdobytego uznania.

„Neue Zeitschrift für Musik" pisze między innemi: „Pieśni Opieńskiego łączą w sobie zabarwienie modernistyczne z głęboką treścią wewnętrzną, co w muzycznej liryce współczesnej bardzo się rzadko spotyka."

W „Rheim, Musik und Theater Ztg." czytamy: „Pieśni Opieńskiego świadczą, że autor ich powołany jest do wybitnej twórczości muzycznej, jeżeli sądzić z pierwszych prób tak świetnie rozpoczętych. Jego utwory wokalne należą do najlepszych i najbardziej oryginalnych, jakie w ostatnich czasach wydane zostały. Wieje z nich przejmująca tęsknota, którą Polacy noszą w sercu z powodu utraty ojczyzny. Przy niezwykłej wytworności opracowania należy podziwiać prostotę środków, jakimi p. Opieński wywołuje głębokie wrażenie."

Wogóle postać Henryka Opieńskiego zasługuje na pewne wyróżnienie i podkreślenie w środowisku naszego muzycznego świata, jako typ uosabiający aspiracye artystyczne ostatniej chwili, pojęte szlachetnie i głęboko.

Niezależnie od wrodzonej intuicyi artystycznej i niepowszedniej inteligencyi Opieński zawdzięcza swoje stanowisko kulturalne studyom rozległym i urozmaiconym w przeróżnych centrach muzycznych Europy.

Tak więc pierwsze studya teoretyczne odbywał u Foerstera w Pradze, następnie u Żeleńskiego w Krakowie. W roku 1894 (Opieński urodził się r. 1870) wyjechał do Paryża, gdzie naukę gry skrzypcowej pobierał od Władysława Górskiego, teoryi zaś od Zygmunta Stojawskiego i gdzie wszedł w zażyłe stosunki z Paderewskim. Pod jego kierunkiem pracował nad kompozycyą w Paryżu i w Morges w Szwajcaryi. W r. 1897 za radą i pomocą materyalną Paderewskiego wyjechał na studya do Berlina do znakomitego pedagoga Henryka Urbana.

W 1899 roku pracował jako członek orkiestry Colonne'a w Paryżu i uczeń Schola Cantorum pod przewodnictwem Wincentego d'Indy.

W roku 1901 zajął stanowisko inspektora orkiestry w Filharmonii warszawskiej a w rok później — kierownika zaprojektowanego przezeń chóru. Jednocześnie zaszczytnie rozwinął działalność krytyczno-literacką, w której wykazał się jako bezstronny rzecznik ideałów prawdziwej sztuki.

W r. 1904 wyjechał do Lipska na kursa kapelmistrzowskie Nikischa oraz uniwersyteckie studya pod kierunkiem sławnego Riemana.

W bieżącym sezonie wystawiono „Księcia Niezłomnego" Słowackiego z ilustracyą muzyczną Opieńskiego. Krytyka przyjęła tę nową kompozycyę nader pochlebnie, oddając przytem należne uznanie talentowi kapelmistrzowskiemu Opieńskiego.

Bardzo jest pożądane dla dobra naszej sztuki, ażeby p. Opieński na tem polu jak najprędzej zajął wybitne stanowisko w Warszawie.

J. R—g.

*) Henryk Opieński wystąpił w Poznaniu na koncercie „Lutni" w niedzielę, dnia 10-go b. m. (patrz Wiadomości). — Przyp. Redakcyi.

Tortury w Warszawie.

Jeszcze nie przebrzmiały straszliwe szczegóły ogłoszonych w „Tribunie“ tortur ryskich, a już w „Humanite“ ukazały się inne niemniej przerażające wieści o torturach w Warszawie.

Niczem nie zamącona cisza panowała naokoło.

Nieszczęśliwa liczyła sekundy, czekając, aż ją schwycą i pociągną na tortury.

Naraz wśród ciszy nocnej rozległy się dziwne głosy, potem usłyszała ciężki łoskot padającego ciała, potem

przed paru tygodniami) i zażądał, aby opowiedziała wszystko, co wie o swym bracie.

Odpowiedziała, że nie wie nic.

Wtedy odprowadzono ją do tego samego pokoju, skąd słyszała straszliwe jęki brata i narzeczonego.

Był to wielki pokój z dwoma okna-



Siostry.

Znany z rewelacyi w sprawie Spirydonowej p. Władymirow opowiada następującą historyę niejakiej Rothkopf.

Była to dziewczyna lat 18-tu. Aresztowano ją w Warszawie u znajomych, gdzie była razem z bratem, i niezwłocznie wyprawiono do więzienia.

Pewnego wieczora do celi więziennej wpadł żandarm.

— Wstawaj i chodź. Zaraz ty pójdziesz na tortury!

Przez ciemny korytarz zaprowadzono ją do maleńkiego półciemnego pokoju.

— Siedź i słuchaj! — krzyknął jej głos z ciemności.

krzyk jej brata i odgłos spadających nań razów.

Teraz zrozumiała, po co ją tu umieszczono...

Kiedy nieprzytomna z żalu i z rozpaczy rzuciła się do wchodzącego żandarma z zapytaniem, za co tak męczono jej brata, odpowiedź brzmiała:

— Jeśli nic nie powiesz, i z tobą będzie to samo.

Drugiej nocy powtórzyło się to samo z tą różnicą, że teraz badano jej narzeczonego w taki sam sposób.

Na czwarty dzień, kiedy już obłąkana ze zdenerwowania siedziała jak nieprzytomna w swej celi, wszedł do niej Grün (agent ochrony, zabity

mi. Na obszernym stole leżały laski gumowe i kije zwykłe. W pokoju był młody oficer żandarmski, nazwiskiem Iwanow, i około dziesięciu agentów w cywilnem ubraniu. Schwycili oni dziewczynę i rzucili ją na stół. Agenci schwycili ją za nogi i ręce, oficer dał znak i rozpoczęły się tortury. Bito ją kijami po plecach i po nogach. Wkrótce straciła ona przytomność, wtedy oblano ją wodą i, kiedy odzyskała przytomność, oficer zadał jej znowu pytanie: „czy powie wszystko, co dotyczy jej brata.“

— Nic nie wiem — odpowiedziała znowu.

Tortury rozpoczęły się znowu i trwały z przerwami 3 noce. Bito ją w

dalszym ciągu kijami, wyrywano włosy, wybijano zęby. Bito z lekka po brzuchu, co powodowało torsye szalone. Wreszcie położono ją na ziemi i po kolei jeden po drugim skakali na nią ze stołu. Wtedy z ust jej zaczęła płynąć krew.

Kilka miesięcy walczyła ona potem ze śmiercią. Całe ciało jej było jedną wielką raną, wewnętrzne organy uszkodzone.

Po upływie pół roku inna z uwięzionych zobaczyła Rothkopfównę. Dziewczyna 18-letnia wyglądała jak zgrzybiała kobieta. Rysy jej zmieniły się raz na zawsze. Twarz chorobliwie nabrzmiała i pokryta plamami i bliznami. Opowiadała ona o swych przejściach i o tem, że brat jej został rozstrzelany bez sądu.

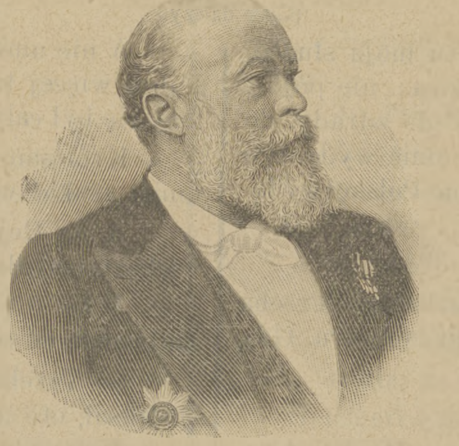
Marszałkiem parlamentu niemieckiego

obrano w obecnej kadencyi konserwatystę hr. *Udo-Stolberga* z Wernigerode, który otrzymał 214 głosów na ogólną liczbę 348 oddanych karteczek. Centrowiec Spahn otrzymał tylko 164 glosy.

Pierwszym wicemarszałkiem wybrano liberała Paasche'go, który otrzymał 209 głosów na 382 oddanych karteczek; 167 karteczek oddano białych. Drugim wicemarszałkiem wybrano posła wolnomyślnego Kämpfa, który otrzymał 205 głosów, na 379 oddanych karteczek, białych karteczek oddano 166.

Nowowybrany marszałek hr. Stolberg przyjąwszy wybór, powiedział słów kilka zaznaczając, że już i tak mozolny i pełen odpowiedzialności urząd marszałka jest wśród teraźniejszych politycznych stósunków podwójnie mozolnym i pełnym odpowiedzialności. Wie on, że marszałek tylko wtenczas może coś zdziałać, skoro doznaje poparcia od izby. Dla tego prosi o poparcie parlamentu. Mówca oświadcza dalej, że chce swój urząd niezależnie sprawować we wszelkich kierunkach, sprawiedliwie i bezpartyjnie będzie bronił godności parlamentu i będzie możliwie popierał interesa parlamentu.

Przez ostatnie kilka lat był marszałkiem centrowiec hr. Ballestrem, tym razem mimo, że centrum jest najsilniejszą partyą nie powierzono nikomu z centrum tego wysokiego urzędu.



Hrabia Udo Stolberg z Wernigerode.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 10 marca 1424 Zawisza Czarny podejmuje u siebie królów bawiących w Krakowie. — 1529 śmierć Janusza, ostatniego księcia mazowieckiego. — 1637 śmierć Bogusława, ostatniego księcia pomorskiego.

Dnia 11 marca 1646 śmierć hetmana Stanisława Koniecpolskiego. — 1797 przybycie do Petersburga Stanisława Augusta.

Dnia 12 marca 1582 wjazd Stefana Batorego do Rygi. — 1656 rozbicie Szwedów pod Jarosławiem.

Dnia 13 marca 1600 wcielenie Estoni do Polski. — 1683 traktaty w Warszawie na wyprawę turecką.

Dnia 14 marca 1386 chrzest Jagiełły i zaślubienie Jadwigi. — 1422 małżeństwo Władysława Jagiełły z Zofią. — 1792 zaprzysiężenie na sejmikach konstytucyi 3 maja. — 1831 zniesienie Moskwy pod Stoczkiem.

Dnia 15 marca 1034 śmierć Mieczysława II. — 1412 przymierze z Węgrami w Lubomli. — 1517 zwołany sejm do Włocławka. — 1794 powstanie jenerała Madalińskiego. — 1818 pierwszy sejm w Polsce kongresowej. — 1831 odezwa jenerała Dwernickiego do obywateli zabużańskich. — 1849 jenerał Bem zdobywa Hermanstadt.

Dnia 16 marca 1331 Jan, król czeski, ziemię dobrzyńską nadaje Krzyżakom. — 1409 Krzyżacy wyrzynają w Wołkowysku lud zgromadzony w kościele. — 1797 wojewoda Tarło Adam ginie w pojedynku pod Marymontem.

Humor i satyra.

Byle wyżej.

„Mój mężulu, mój Tadzinku!
Kup mi broszkę w upominku...
Ale będzie brylantowa,
Jaką ma profesorowa...
Tylko kup na imieniny.
Dobrze? kupisz? mój jedyny!"
„„Kupię, lubko, złotą broszę, —
Ale, Jadziu, bardzo proszę
Małą chwilkę... pęka głowa!""
„Wiesz co, Tadku, suknia nowa
Zdałaby się — kaszmirowa
Z garniturem koronkowym,
Tak, z wyłogiem granatowym
Śliczna!... kupisz? Tadku miły!
Już cię ścisnę z całej siły. —
„Dobrze, dobrze, — niechno zliczę, —
Gdy nie starczy, choć pożyczę!""
„Ach! ta brzydka Twoja *klada,*
Męczysz mi się, twarz Twa blada, —
Czyś Ty jeno, Tadziu, zdrowy?"
„„Mam troszeczkę bólu głowy...
Całą nockę rachowałem, —
I godziny dziś nie spałem!
Idź, już sobie, idź, kochana,
Tyś po balu niewyspana...
Daj mi skończyć,—daj mi skończyć!""
Trzeba było się rozłączyć. —
Spojrzał za nią z łzawem okiem,
Potem chwiejnym odszedł krokiem...
„„Próżna praca! precz kłopoty!
Żal mi żony, ach! sieroty
Biedne moje już bez chleba...
Mam żyć w nędzy? nie, iść trzeba!""
Chwycił za broń, — w skroń wymierzył, —
Za godzinę Tadzio nie żył.

K. P.

* * *

Dwaj kumotrowie.

(*Dwaj kumotrowie ze wsi obrazili księdza proboszcza — ale przyszli go prosić nazajutrz o przebaczenie, żeby nie skarżył do sądu*).

— Księże kanoniku dobrodzieju — prosili — a toż Pan Jezus na krzyżu także odpuścił!.....

— Ba!.. Pan Jezus odpuścił jednemu łotrowi — a was jest dwóch!...

6)

Tadeusz Rejtan.

Wspomnienie historyczne.

(Ciąg dalszy.)

— Po cóż iść?... Nie ruszę się ztąd, tu moja służba, tu moja straż, jam tu postawiony jako obrońca... nie pójdę, dzień i noc będę czuwać, ażeby nie dopuścić do zdrady, do mordu wolności... ja się wyroku śmierci na mnie wydanego nie lękam, ale się boję, by wyrok śmierci na Polskę wydany, nie został wykonany i spełniony.

Lecz garstka tylko slucha Rejtana.

Wychodzą znów posłowie i spieszą do króla. Trzeba koniecznie, ażeby król pierwszy podpisał akt rozbioru. Gdy on to uczyni, już wszystko łatwiej pójdzie.

Rejtan się nie ruszył.

Kilku szlachetnych ludzi zostało z nim. Mrok już zapadał, noc już szła cicha i pogodna, wiosenna noc kwietniowa, która usypia rozwijające się kwiaty po łąkach i kołysze na gniazdach ptaszyny, przybyłe z ciepłych krain.

Lecz nie uśpiła bólu Rejtana i nie ukołysała smutku czarnego, rozpiętego po ścianach sejmowej sali, w której miano potwierdzić niewolę Polski...

Rejtan blady, zmęczony, jak posąg cierpienia siedział w sali sejmowej całą noc. Siedział obok niego Jerzmanowski, zacny poseł i ręce łamał z bolu.

Siedziało jeszcze kilku, ale nikt słowa nie mówił. Złamani i bolem zgnieceni, podobni byli raczej do mar jak do ludzi.

Poniński zaś podaje królowi akt rozbioru do podpisu.

Król niby się waha, chwieje, wstrzymuje, wreszcie szepce:

— Cóż powie na to szlachetny Rejtan?

— Wszystko daremne... — odrzekł Poniński — rozbiór musi być podpisany.

9.

Podpisali.

„Wstydno było Moskwie,
„Że ją Rozbiór plami,
„— Dalej pany Senatory
—„ Podpisujcie sami!“
(Sawa.)

Więc nadszedł ten dzień.

Ten dzień żałoby, pogrzebu i sromu...

Dzień 21 kwietnia, piątek rano...

Król zwołał do siebie senatorów i powiada:

— Podpiszcie, że zgadzacie się na oddanie po kawału ziemi, a potem to się jakoś zrobi, jakoś poradzi, jakoś odejrze, teraz podpisać trzeba, bo 50 tysięcy wojska przyjdzie do Warszawy, jeśli tak nie zrobicie.

Cicho, smutno, jak na pogrzebie było w tej chwili w sali królewskiej.

Istotnie był to straszny, okropny pogrzeb, bo własne dzieci Matkę żywą niosły do grobu, bo własne dzieci podawały ręce Matki, aby na nie kajdany włożono, bo własne dzieci zdzierały z czoła Matki wieniec sławy i chwały, a zadały znak pohańbienia i poniżenia — służbę u wrogów...

Król mówił:

Skarb ubogi, wojska mało, bronić się i opierać nie możemy.

A nie umiał tego powiedzieć, iż gdyby byli wybrali do sejmu więcej takich wielkich i prawych ludzi jak Rejtan, toby się był cały naród obronił od krzywdy i niewoli.

Król sam był niedołężny, słaby i chwiejny, więc nie umiał szukać wielkich w narodzie.

A na Rejtana — wyrok śmierci wydał za to, iż był większy nad tłum zdrajców i sprzedawczyków.

Więc o pierwszej godzinie po południu wchodzą senatorowie do sali.

— Trzeba podpisać! — powiada Poniński — oto król podpisał, oto my podpisali, teraz wy wszyscy podpisujcie...

Rejtan siedzi, zasłonił oczy rękoma i płacze.

On wielki, on silny, on nieugięty, on nie zaprzedany — już nic innego czynić nie może. Mówił tyle razy, błagał, prosił, przedstawiał, zachęcał... nie wzruszył, nie rozgrzał, nie zbudził sumienia.

Płaczą inni.

Straszny sejm...

Okropna godzina upodlenia i hańby.

Łzy toczą się po licach posłów wielu — serca rwą się w kawały.

A jednak — podpisują.

Na stole leży wielki akt rozbioru Polski i oni idą, jeden za drugim, idą bez słowa protestu, bez krzyku rozpaczy, bez skargi szmeru, idą i podpisują.

Przyjdź duchu Bolesława Chrobrego i patrz, co robią polscy synowie...

Przyjdź dzielny królu Łokietku i powiedz — czem jest czyn taki.

Przyjdź cichy i jasny duchu Jadwigi, spytaj tych ludzi, dlaczego rozdzielają w części tę całość narodu, którąś ty ofiarą i poświęceniem zbudowała...

Przyjdźcie ogromnym korowodem duchy i cienie tych wszystkich bohaterów, którzyście krew przelewali w obronie wolności i życie dawali Ojczyźnie w ofierze i mówcie, wołajcie, wzywajcie siłą tysiąca głosów, by nie czynili tego, co czynią...

Lecz nie!...

Nie widzą posłowie duchów przeszłości, nie słyszą głosów sumienia, nie wiedzą, iż to pióro, które pisze ich nazwiska, jest mieczem mordercy i zabija wolność.

Zostało jeszcze dziesięciu...

Idzie dwu — podpisali...

Cicho — słowa nikt nie mówi...

Od ścian wielkiej sali odbija się echo każdego kroku...

Zostało jeszcze sześciu...

Poszło dwu — podpisali...

Już tylko czterech.

Zbliżyli się do Rejtana, jak gdyby czekali na co.

Odjął ręce od ócz, spojrzał i szepnął:

— Jeśli możecie — idźcie...

I ci poszli.

Jadwiga z Łobzowa.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



KAZIMIERZ GLIŃSKI.

15 # GADY.

POWIEŚĆ Z XIV WIEKU.

(Ciąg dalszy)

Zdaje się, że jeszcze słyszy, jak czyjeś drugie serce bije koło jej serca; jedwabisty włos muska jej skronie, dotyka szyi, sprowadza dziwny dreszcz...

...Nie pozbyć się wrażenia tego po wiek, po wiek nie zapomnieć dreszczu tego ni pocałunku...

Dziwny to duch był, zaiste! ale przecie nie wymarzyła go, nie wyśniła — przytomniejszą była wtedy niż dziś jest. Teraz ma czucie, jakby jeszcze sen nierozproszony do koła niej się unosił; serce nie może do spokoju przyjść, myśl ukołysać się i sama siebie zrozumieć.

Czasami na pytanie dziadzi odpowie tak, że on zaśmiać się musi, a ona w płomieniach stanąć, że nie zrozumiała słów, a odpowiedź dała, jakby tylko co ze snu rozbudzona. Jewki nie puszcza od siebie: aby jeno na krok odstąpiła, za rękę ją chwyta, aby jeno wspomniała, że do domu jej czas:

— Ostań! — szepce...

I takiemi proszącemi oczyma patrzy, że nie sposób było nie ostać.

Nie rozstawały się z sobą, nie mówiły do siebie nic jednak. Może rozmawiały myślami, bo usta były milczące. Ale jeżeli na Helżbietce znać było rozmarzenie i szczęścia jakiego przeczucie, z twarzy Jewki patrzył smutek i zadumanie a czasami łzy zasłaniały oczy. Jednej i drugiej nie spieszno było do wyjazdu. Sokula, zapytywana przez Helżbietkę, sama nie wiedziała, co odpowiedzieć jej ma: wiadomo, że przy królu dwór jest wielki, rycerzy mnogi lik — ale.....

Drapała się w głowę, odpowiedzi rozumnej nie znajdując.

Pan Marek nie nalegał na wnusię, by opuszczała Podkamień. Za każdem wezwaniem Wojsława, by do Leszczyc ją wreszcie wyprawił, bo okrutnie mu tęskno za jedynaczką — mruczał sobie pod nosem:

— A mnie nie tęskno będzie?... Przepędziła z tobą lata całe, ostaw-że ją mnie jeszcze choć na miesiące zimowe. A zresztą i jakoś sama nie wybiera się ode mnie, widno, że z dziadem jej dobrze i do Podkamienia przyrasta. Mamże jej mówić: „Ruszaj-że już sobie, dziewko?" — Jutro!.... Tyranem dla nikogo nie byłem a cóż dla niej?...

I rozpuszczał dziewczynę tak, jako ociec rodzony nigdy tego nie czynił. Brakowało jej tylko mleka ptasiego, ale zaradzić temu jedynemu niedostatkowi pan Marek nie mocen już był.

Zauważył jednak zmianę w Elżuni, lecz ona nie trapiła go wcale: Nie zadumanie to było, spowodowane smutkiem nieodgadnionym, lecz rozmarzenie, dające, choć nieokreślone, szczęście zawżdy. Smutek nie zapala płomienistych gwiazd w oczach, nagłymi rumieńcami na jagodach nie siada, nie porusza uśmiechem ust, ani żywymi maluje kolorami.

— Coś się pokazało Helżbietce podczas nocki Andrzejowej — mówił do siebie — i gdy ją zapytał raz o to, stanęła, jako jutrzenka, w żywych rumieńcach ognia.

Warsz jeden nastawał na pana Marka, by puścił już dziewczynę.

— Abo ją trzymam? niech jedzie? — odpowiedział stary.

Wtedy Warsz do Helżbietki brał się.

— Tatuś czeka, drogi się psują... Czas jechać, panno!

A ona:

— Jeszcze dzionek jeden, mój Warszu!... Jutro — pojutrze.....

— To już dwa panna sobie wymawia.

— Żałujecie mi tego, co nawet jest nie wasze?

— Rodziciele się niepokoją... Na zimę się zabiera, a i wilki zaczną z lasu wychodzić.

— Co wilki dla was!

— Ale panna jeszcze bestyi nie widziała.

— To zobaczę!...

— Gadaj-że tutaj!

Helżbietka w śmiech.

— Jak mróz ziemię ściśnie, a jeść czego nie będą miały, to, jak amen w pacierzu, na wóz się rzucą — straszył Warsz.

— Zali mnie nie obronicie?... rycerz taki?...

— A strach?...

— Kto ma się strachać?.... wy?.....

— Ot, gadanie!

Warsz ze zbójami wyjechał, ale ich już wcale nie bała się Helżbietka; tedy wystąpił z wyraźnem rozkazaniem pana ojca, że dziewczyna do dom wracać ma, bo jak się na długą słotę zaniesie, czego po dotychczasowej wytrzymałości jesieni spodziewać się można — to już czasu śnieżnej zimy nijak się z miejsca ruszyć.

Rozkaz pana ojca, to już nie zbój ani wilk żaden, ale od czego natura-macierz takie czarujące oczy dała Helżbietce?..... Jak ci powłóczyła niemi a na Warsza spojrzała, jużci, że jeno za lewem uchem się poskrobał i już nie nagabywał jej, bo ono spojrzenie ważniejsze było, niż nawet pana Leszczyca przykaz. Poszedł tedy do Sobka i rzekł:

— Poprobuj-no ty, jako nie mający takiej miętkości do niewiast.

Ale Sobek głową poruszył, czem do zrozumienia Warszowi dał, że i on jest „miętki".

Bądź co bądź, stary Żóraw rozumiał, że Helżbietka nie może już dłużej u niego ostawać, i tak za długo zabawiła w Podkamieniu, mimo woli i rozkazania pana ojca. Wiedziała o tem i Helżbietka sama i pomalutku przygotowywała się do podróży.

Nie na tygodni, lecz na dni już liczyła się jej bytność u dziada, opóźniła jednak ostatnią chwilę wyjazdu, jakby w oczekiwaniu czegoś niewiadomego, co przyjść ma i na jej życiu zaważyć. Z Jewką nie rozstawała się na chwilę i uprosiła ją, że razem Podkamień opuszczą, na co chętnie się zgodziła, bo nic jej nie ciągnęło tam, gdzie jeno smutek a ból zawodu oczekiwały. Pan Floryan nie przyjedzie już, a choćby i przyjechał, zali uśmiechać się mu do niego i kłamać wesołość? Lepiej jej w Podkamieniu, przy Helżbietce, od której rozgrzewające jakieś ciepło biło, która umiała pocieszyć i dobrą jakąś otuchą natchnąć. Czuła, jako jej smutno będzie, gdy do dom wróci. A czas się spieszył, pan Marek markotniał. Warsz opatrywał koła i osie wozu i drużynę podróżną w subordynacyę brał, która rozpuściła się nieco w gościnie u pana Marka i trochę zbereżeństwa w Podkamieniu pomiędzy dziewkami narobiła. Chmury zasunęły niebo, niedopatrzeć już słońca — przed zimą jesień wypłakać się musi; dni coraz krótsze, noce coraz ciemniejsze a raz wraz wieści dochodziły o pojawiających się napadach i zabójstwach.

Pazik.

Jaśko nie wiedział nic dla czego opuszczony był tak przez wszystkich i w takiej samotności umierał dziad jego, ów pan możny niegdyś, ów dawny wojewoda gdański, który czasu swojego w estymie i poważaniu u książąt i królów był i łeb wysoko nosił. Czuł jeno, że dziś święty obowiązek ma zajęcia się godnie pogrzebem nieboszczyka i pochowaniem zwłok jego w rodzinnej Święcy, gdzie były groby naddziadów, rycerskie posągi, porfirowe sarkofagi, napisy, żywoty zacne sławiące. Słyszał o wojnach, które zburzyły rodowe dobra jego ojca, wsie i liczne zamki obronne poddawały mocy wroga, ale jak to się stało i dlaczego — nie wielkie o tem miał wyobrażenie. Wiedział, że dziś tam władanie swoje rozpostarł Zakon potężny, ale czy do tych posiadłości doszedł prawem wojny, czy gwałtem zaboru — obce to mu było zupełnie, dość, że okrom tych grobów, własności innej na ziemi ojców swych nie miał. Przyjdzie czas i krzywdziciele srogo mu za to ubóstwo i za tę śmierć dziada zapłacą.

Ta myśl, jak ostrze miecza, w mózgu jego utkwiła, w sercu rozdmuchowała płomienie zemsty. Stary Jarmusz i Lewko z Samołęk świadomi musieli być tragedyi onej. W stosownej chwili na spytki ich weźmie, dziś czasu niema dla dowiedzenia się prawdy; nawet czarne oczy Helżbietki gęstą mgłą się osnuły, nawet jej pocałunek na ustach jego przygasł, przed jego wzrokiem rysuje się tylko wyciągnięta postać dziada, łachmany gzła i łoże nędzy. Teraz cały się oddał trudowi przewiezienia do grobów praojcowskich zwłok wojewody i uczczenia ich pogrzebem wspaniałym.

Rozesłał listy do szlachty i panów możnych, by zechcieli w onym żałobnym towarzyszyć pochodzie, i pewny był, że tłumy rycerzy i kmieci przyłączą się do tego orszaku, poruszy się cała ziemia pomorska, dzwony wszystkich kościołów zagrają, przez wsie, miasta i grody przesuwać się będzie wóz żałobny.

Co to?

Zapłaceni księża celebrowali w Jasińcu — ale kościół był pusty. —

Mary lśniły od czerwieni i złota, lecz nikt się nie zbliżył do tych mar. —

Wóz potoczył się przez ulice miasta, drogi polowe, gościńce bite; niejedną wiś minął i zawadził o wrota sadyby szlacheckiej — a nikt z proszonych i nieproszonych nie przyłączył się do smutnego orszaku, zdawało się, że morowa zaraza przeszła przez całą tę ziemię, nawet niektórym dzwonom popsowały się serca i oniemiały na czas pochodu konduktu, choć zaraz na nieszpor, abo na Anioł Pański bić zaczynały.

Słyszał to ich odezwanie się dalekie, jadący za wozem żałobnym Jaśko. Dokoła cisza lasów i pustka pól, cały orszak pogrzebowy składali: Lewko z Samołęk, Jarmusz i on!

Zbielało czoło młodego rycerza, ściągnęły się piękne łuki brwi, boleśnie ścisnęły się usta, — nie spytał jednak, dlaczego dzwonom zamierają serca, gdy ten przechodzi trup? dlaczego taka pustosz dookoła?...

— Także to mnie witasz, ojczyzno miła? — szeptał jeno do siebie w duchu.

I przed oczyma jego stanęły kraje auzońskie, które z lekkiem sercem opuszczał, a do których z utęsknieniem teraz powróci. Nie ostawać mu w ziemi tej, która takim chłodem powiała ku niemu, gdzie echa nie mają głosu, w piersiach ludzkich kamienie i lód.

Nagle przez serce jego żar przebiegł... Rozbudziło się wspomnienie nocy Andrzejowej. Zbliżyły się oczy czarne do jego oczu; płomienne, dziewicze usta na jego ustach się położyły. I żywym rumieńcem zapłonęły jagody rycerza, westchnienie poruszyło piersi.

Wyszeptał:

— Nie zabyć mi tych korali, tego ognia, tych gwiazd!...

I zakołysał się marzeniem...

I już nie widział, czy kto do orszaku przyłączył się, czy nie? nie słyszał, czy dzwony biją czy milczą?

Tu i tam pojawiały się niewielkie gromady kmieciów, abo na przydrożu, konno jadący, zatrzymał się chodaczkowy szlachcic jaki; tu i tam padło pytanie:

— Kogoż to wieziecie na odpoczynek wieczny? któż to poszedł do chwały Bożej?

Ale dość było odpowiedzieć:

— Święca!

Gromady usuwały się wnet, szlachcic czapkę na łeb naciskał i odjeżdżał — i znów przez pola i lasy szedł kondukt samotny.

Przyłączyło się jednak do orszaku kilku rycerzy krzyżackich. Pomiędzy nimi znalazł się i Wolffram von Salzbach z bratem Johanem.

Jechali do Gdańska...

Wolffram szybko zapoznał się z kasztelanicem, któremu spodobały się oznaki szacunku i maniery rycerskie Niemca. Brat Johan, dowiedziawszy się, czyje zwłoki w trumnie leżą, westchnął boleśnie i szepnął:

— Taki pan a taka pustka!...

Na to Wolffram odpowiedział półgłosem:

— Wierny był prawdzie!

Szeptano tak, by Jaśko słyszał.

To go do innych ludzi zbliżyło; był przecie ktoś, litość w sercu mający.. Żadnych jednak nie dawał im pytań.

Po kilku dniach podróży uciążliwej przybyli do Święcy. Jaśko zastał groby zapadłe, sarkofagi uszkodzone, natrącone rycerskie posągi ojców. Na bielmie oczu jednego z pradziadów pająk siedział, piękne wąsy osnute siecią były. Okrywał wszystko pył zapomnienia.

Ból ścisnął serce kasztelanica — i rzucił pytanie jakieś tym posągom kamiennym.

Z grobów odpowiedział szmer głuchy.

Usunęło się li sklepienie, czy poruszyły się szkielety?

Kościół był pusty, gdy odprawiała się Msza żałobna, bielało tylko kilka płaszczów krzyżackich.

Z głuchym łoskotem usunęła się trumna do podziemia.

Spadły wrota żelazne — o sklepienie odbił się jęk...

To echo!...

W pustce takiej echa rozchodzą się swobodnie — wiedział o tem Jaśko; ten jęk jednak zabobonnym przejął go strachem: wybiegł z grobów, przeszedł przez serce, utkwił w mózgu.

Pazik pozostał w Jasińcu.

Nie uśmiechała mu się wcale ona podróż smutna a daleka. Jechać ciupasem za wozem żałobnym, podczas mrozu trzaskającego, bo miasto spodziewanej pluty niebiosa wyjaśniły się i wczesna zima nadeszła — nie było satysfakcyi wielkiej. Juźci, że nie z własnej woli został, jeno z rozkazania Jaśkowego; wżdy na siebie miał włożony obowiązek dowiedzenia się o onej dziewce urodziwej, w Podkamieniu spotkanej.

(Ciąg dalszy nastąpi).